

Nr 1 (134) – B Rok 23

Styczeń-Luty 2017



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.
Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38
E-mail: vykovaliv@gmail.com
Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.
ISSN 1429-4109

Adres pocztowy oddziału w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:
Stowarzyszenie Ośrodek
“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

Dla wpłat z zagranicy należy dopisać:
S.W.I.F.T. code: POLUPLPR

~ ~ ~ ~

„Wołyński Słownik Biograficzny”

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

“Dziennik pisany nad Horyniem”:

<http://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<http://www.facebook.com/Wolanie/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-5: Edmund GOŚ, *VII edycja akcji «Mogile pradiada ocal od zapomnienia»*
- s. 6-10: Katarzyna GRABOWSKA, *Galaktyka Andromedy. Józef Kozłowski: Inżynier, biznesmen, ksiądz*
- s. 11-22: Ryszard Mieczysław KLISOWSKI, *Ślady działalności harcmistrza ks. Józefa Kuczyńskiego i grona jego znajomych cz. 2/3*
- s. 23: Aldona PERKOWICZ-BARBACKA, *Pantofelki. Kowel, 14 stycznia 1944 roku*
- s. 24-29: S. Mateusza Bożena NAWROCKA, *Panie Ty znalazłeś mnie, a jednak wybrałeś, weź mnie taką, jaką jestem, a uczyni mnie taką, jaką Ty chcesz mnie mieć*
- s. 30: Stefan BARDCZAK, *Nad Wilią. Z cyklu «Krajobrazy Wołynia»*
- s. 31-33: Ks. Władysław BUKOWIŃSKI, *Na progu dwóch światów*
- s. 34-36: Maria KALAS, *Będziemy mieli patrona*
- s. 37-38: Feliks TRUSIEWICZ, *Przygoda myśliwska w zimowej scenerii*
- s. 39-40: Halina SOBOLEWSKA, *Tak zwyczajnie, z potrzeby serca*
- s. 41-43: Anatolij OLICH, *„Na pograniczu dwóch światów”*
- s. 44-46: Alfons SOCZYŃSKI, *Od Wielkiej Głuszy po Hlinno*
- s. 47-48: Kazimierz SZALAŁATA, *Bp Michel Dubost gościem Szkoły Katedralnej w Łucku*

Dostajemy często zapytania „**Gdzie można nabyć «Wołanie z Wołynia» i Wa-sze książki?**”

Aby otrzymać „papierową” (tradycyjną) wersję naszego czasopisma należy zwrócić się listownie na adres:

ks. Vitold-Yosif Kovaliv
Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin, Polska
 lub: **о. Вітольд-Йосиф Ковалів**
вул. Кардашевича, 1
35800 м. Острір, Україна
e-mail: vykovaliv@gmail.com

Poprzednie numery „Wołania z Wołynia” z lat 2010-2016 w wersji elektronicznej dostępne są pod adresem:

http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/

Nasze czasopismo i książki z serii „Biblioteka «Wołania z Wołynia»” można nabyć także w: **Antykwariat Kresowy**

Krzysztof Koltun
ul. Lwowska 13 J, 22-100 Chełm
tel. +48 82 564 72 99
e-mail: antykwariat-kresowy@o2.pl



Ў нас на Во́лыню - У нас на Волині

VII EDYCJA AKCJI «MOGIŁĘ PRADZIADA OCAL OD ZAPOMNIENIA»

VII edycja akcji «Mogilę pradziada ocal od zapomnienia» dobiegła końca. Podczas wakacyjnych zmagania 2016 r. na blisko 100 polskich nekropoliach położonych na dawnych polskich Kresach udział wzięło 1000 wolontariuszy (nie tylko z Dolnego Śląska). Akcją kieruje Grażyna Orłowska-Sondej, redaktorka TVP Wrocław.

Od pięciu lat młodzież Liceum Ogólnokształcącego w Sycowie jeździ do Korca, aby w ramach wspomnianej akcji porządkować teren przedwojennego polskiego cmentarza (1,5 ha).

Tym razem, w okresie 2-12 lipca 2016r., pojechała następująca grupa: Marcelina Dukiewicz, Sandra Piórkowska, Michał Łacina, Nikodem Marczak, Karol Zatylny, Dariusz Zatylny (już po raz trzeci), Malinowski Marek (drugi raz). Woził nas busem wspaniały kierowca Szczepanik Andrzej. Mieszkaliśmy, jak co roku, na plebanii kościoła pw. św. Antoniego. Trójka z nas ma kresowe korzenie. Moi rodzice mieszkali w Lublińcu k/Kowla, Marka rodzice mieszkali w Nadyczach pow. żółkiewski a Darka dziadkowie w Białym Potoku, pow. czortkowski.

W pierwszym roku nasze prace to usuwanie chwasty i zarośli z terenu całego cmentarza oraz odnawianie napisów na kilku pomnikach. Dalsze lata to podnoszenie i składanie w całości pomników oraz odnawianie na nich napisów. Odkrywanie (odkopywanie) pomników i tak znaleźliśmy najstarszy (jak do tej chwili)



**Pomnik obok kaplicy cmentarnej
z 1845 r. Lukrecji i Ignacego
Drzewickich**

Fot. Edmund Goś

pomnik z 1804 r. Anny Rynkiewiczowej Stolikowej Lubaczewskiej. Wielką satysfakcją dawał młodzieży proces odczytywania treści zawartych (wygrawerowanych) w kamieniu i następnie odnawianie treści napisów. I przy tym smutna refleksja, dlaczego takich tekstów obecnie brak na pomnikach – np.:

„Żyj w Bogu dobra Żono, ciesz się z Stwórcą w Niebie



Przed sklejeniem pomnika

Fot. Edmund Goś

Ja na ziemi póki będę, modlić się za Ciebie nieprzestane,

wraz z dziećmi rąk wznosić do Pana by Ci wina wszelaka była darowana.

A kto z bliźnich przechodząc Twe mogiłę mijają

Niechaj westchnie i zmówi Zdrowaś MARYA”

Takie i podobne teksty napotykalismy wielokrotnie w trakcie odczytywania zniszczonych napisów. Niestety w kilku przypadkach nie dało się odczytać w części albo w całości napisów.

W tym roku postawiliśmy sobie za zadanie przeprowadzić renowację bramy wejściowej na cmentarz. Była to już ostatnia chwila na uratowanie murów tej budowli – znaczne ubytki zmurszałej cegły, duże pęknięcia w murze itp. – taki obraz zastaliśmy.

Do tej pracy ekipa kierowana przez Marka zużyła 22 worki cementu, 25 litrów

unigruntu, beczkę wapna, 33 m² siatki (rąnicy), ponad 200 cegieł, pręty metalowe oraz gwoździe.

Przez siedem dni po siedem godzin mieszano zaprawę (Darek), mury (kierowca Andrzej), tynkowano (Marek) aby zakończyć pracę w przededniu wyjazdu.

Nawet wycieczka do Ostroga odbyła się bez ekipy Marka, gdyż była obawa że nie zdążą wykonać wszystkiego. Pozostały tylko chęsze zwieńczające górne części słupów bramy, które zobowiązał się wykonać z blachy mieszkaniowiec Korca.

W tym czasie reszta sycowian pracowała na terenie cmentarza usuwając chaszcze sekatorami, kosząc, grabiąc i paląc trawę oraz wykonując renowację obu skrzydeł metalowej bramy wejściowej. Przy wędrówkach przypadkowo odkryto następne pięć pomników z których (niestety) w dwóch przypadkach nie udało się odczytać nazwisk. Przy tych próbach odczytania ucierpiał dość mocno palec Sandry. Tak mocno wodziła przez prawie trzy godziny po wyrytych w kamieniu literach że opuszek palca wieczorem wyglądał jak po oparzeniu.

Zbiorowa mogiła 32 legionistów poległych w 1920 r. wymagała również naszej interwencji. Stare spoiwo z pomiędzy kamieni powypadało, co mogło doprowadzić do rozpadu mogiły. Kilka godzin pracy i chyba na wiele dalszych lat mogiła zabezpieczona.

Dziwaczka poza malowaniem skrzydeł bramy pomalowały napisy na kilku pomnikach.

W pracach porządkowych na terenie cmentarza pomagała nam młodzież z Korca: Alina, Wlado, Anelia i Janka. Gdyby nie pomoc sponsorów ciężko byłoby zrealizować nasze zadania. Narzędzia zasponsorował nam sklep ogrodniczy „Promyk”, farby, pędzle i sprzęt murarski

„Chemal”, pracowaliśmy rękawicami z „Centrum BHP”. Na miejscu udzielał nam nieocenionej pomocy Borys Diczak – były starosta korecki.

W świąteczny dzień (7 lipca) pojechaliśmy do Ostroga i okolic. Mieliśmy zaszczyt być oprowadzani po pomieszczeniach Akademii Ostrogskiej, gdzie wykładowcą jest Lena Belyavska (nasza „szefowa kuchni” na plebanii).

Oprócz prac w Korcu mieliśmy zaplanowaną penetrację terenu byłego przedwojennego polskiego cmentarza w Międzyrzeczu Koreckim (obecnie Великі Межирічі).

Pojechaliśmy tam w czwórkę: ks. Waldemar Szlachta, Ja, Karol i Nikodem. Piękny cmentarz został zrównany z ziemią w latach 60-tych ubiegłego wieku i jest obecnie pastwiskiem dla krów. Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Kultury Kresowej chce w tym miejscu umieścić tablicę informacyjną oraz podnieść 1-2 pomniki. Dając w ten sposób mieszkańcom sygnał do szacunku tego miejsca. Nie są to ciche słowa – przykład upamiętnienia cmentarza w Niewirkowie zachęca do takiej czynności. Teren chłopcy przespilkowali i zaznaczyłem miejsca gdzie potencjalnie mogą znajdować się poprzewracane i pokryte ziemią pomniki. Określiliśmy również gdzie znajdował się mur cmentarny. Wszystko to będzie przekazane na ręce Prezesa Towarzystwa. A może w 2017 roku wspólnie uda się ten plan zrealizować?

Niedzielę 10 lipca 2016 r. zaczęliśmy od Mszy świętej w kościele pw. św. Antoniego w Korcu aby potem pojechać do Równego na spotkanie (już po raz trzeci) z uczestnikami IV Motocyklowego Rajdu Wołyńskiego. Chwile rozmów na Placu Niezależności, wykonywanie wspólnych zdjęć na „stalowych rumakach” i następnie przejazd na Cmentarz Dubieński aby



I już w całości

Fot. Edmund Goś

pomodlić się przy mogiłach polskich legionistów, którzy oddali życie w walce z bolszewikami w 1920 r. – to wszystko zapadnie na dłuższy czas w pamięci członkom naszej grupy.

W dniu wyjazdu zostaliśmy zaproszeni na przejazd zabytkowym Willysem oraz amfibią radzieckiej produkcji do pływania po Korczyku. Markowi pozwolono na jazdę motocyklem „Ural”. Wszystko to dzięki polskiemu przedsiębiorcy Tomaszowi Adrianowi, miłośnikowi zabytkowych pojazdów, który ma firmę w Korcu.

Gdy nad Korczykiem rozkręcały się uroczystości Święta Kupały (odpowiednik naszej Nocy Świętojańskiej) my zbiegaliśmy się do odjazdu. Żegnało nas grono przyjaciół z księdzem dziekanem Władysławem Czajką (z Równego) oraz naszym gospodarzem ks. Waldemarem Szlachtą.

Tutaj należy podziękować firmie „Euroservices” z Niemodlinie za wynajem busa a Andrzejowi Szczepanikowi za nienaganne kierowanie tym pojazdem oraz za Jego pracę na cmentarzu – choć wcale nie musiał.

Edmund Goś



Оdeszli - Відійшли

GALAKTYKA ANDROMEDY JÓZEF KOZŁOWSKI: INŻYNIER, BIZNESMEN, KSIĄDZ



Winda zaskrzypiała i stanęła. Przede mną były duże szklane drzwi, a za nimi szeroki korytarz. „Ostatnie drzwi na lewo” – w uszach dźwięczały mi słowa napotkanego księdza – „Trzeba głośno pukać”.

Zapukałam. W drzwiach ujrzałam starszego, dystyngowanego mężczyznę... Zaprosił mnie do środka, wziął mój płaszcz i po chwili siedzieliśmy w fotelach i piliśmy kawę.

– Przez 26 lat byłem inżynierem i przez 26 lat księdzem. Miałem 49 lat jak wstąpi-

łem do seminarium – ksiądz Józef uśmiechnął się i zaczął swą opowieść.

POWOŁANIE

– Wcześniej zostać księdzem nie mogłem, rodzice byli przeciwni, zwłaszcza ojciec. A ja tak chciałem być misjonarzem, a przyjęli mnie franciszkanie pod Rzymem. Byłem u nich przez rok i tam dowiedziałem się o seminarium dla późnych powołań. Do Rzymu przyjechał wtedy kardynał Wyszyński. Polecili mnie księdza marianie. Ksiądz prymas zgodził się, powiedział, że mnie przyjmie, ale na pewnych warunkach: będę pracował dla polskiej emigracji i sam sobie opłacę seminarium.

Ksiądz Józef skończył seminarium w 1981 roku. Święcenia miał przyjąć od Ojca Świętego, ale w maju Jan Paweł II został postrzelony. Wyświęcał go kardynał Rubin.

DOOKOŁA ŚWIATA

– Po święceniach zafundowałem sobie podróż poślubną dookoła świata. Pierwszy postój miałem w Abudabie, w Emiratach Arabskich. Stamtąd poleciałem do Bombaju, a potem do Kalkuty, Bangkoku i Singapuru, a następnie do Seulu w Korei Południowej. Miałem kolegę Koreańczyka, który przeszedł na katolicyzm, tak jak wielu innych jego współbraci. Stamtąd udałem się do Kyoto w Japonii, a następnie do Nagasaki. Pociąg pokonał 300 km w 60 mi-

nut i to ile lat temu! Niebywałe! – z niedowierzaniem w głosie wspomina wydarzenie sprzed lat. I po chwili...

– Zaimponowała mi ich punktualność, Japończyków oczywiście, ich porządek i kultura. Nikt nie trąbił na ulicach. Wszędzie dwujęzyczne napisy... czysto, schludnie... Mieszkałem tam w klasztorze.

– Z Tokio pojechałem prosto na Alaskę. Wyszedł po mnie jakiś ksiądz, wziął moje walizki, zaniósł do samolotu, a gdy dojechaliliśmy na miejsce powiedział: „*Chodź, pokaż Ci Alaskę...*” i prowadzi mnie do samolotu. Wsiadamy... Lecimy dość nisko... Niesamowite przestrzenie... W końcu lądujemy przy jakiejś szopie. I mój towarzysz wtedy mówi: „*Zjemy hamburgera i napijemy się piwa*”, bo szopa okazała się pubem. Potem dowiedziałem się, że wszyscy księża na Alasce muszą przejść kurs pilotażu. Bardzo mi się to spodobało. Zawsze interesowałem się lotnictwem. W czasie wojny byłem w Szkocji w szkole przysposobienia lotniczego.

– Z Alaski pojechałem do Vancouver. A potem do Toronto i do Londynu, i z powrotem do Rzymu. W ten sposób przekonałem się, że ziemia jest okrągła – śmieje się ks. Józef – Wyjechałem z Rzymu i wróciłem tam. Emiraty Arabskie – trudna służba.

Ostatecznie zdecydował się na Emiraty Arabskie. Podróż bowiem dookoła świata była jakby rekonesansem, podczas którego ks. Józef miał zastanowić się, gdzie chce pełnić służbę duszpasterską. Już pierwszego dnia wysłali go do Kataru, ponieważ miał obywatelstwo brytyjskie, a do Kataru wpuszczali wyłącznie Brytyjczyków. Pierwszą Mszę św. odprawił na dworze w 40-stopniowym upale.

– O mało nie zemdlałem. Przynieśli mi kufel jakiegoś zielonego płynu i kazali wypić. Były to sole mineralne. Poczułem się trochę lepiej. W tym klimacie trzeba wypić cztery litry takiego płynu, aby prze-

żyć... Gdy doszedłem do siebie, zobaczyłem przed sobą całą gromadę ludzi i każdy czegoś ode mnie chciał. Jedni chrztu, drudzy spowiedzi, inni jeszcze czegoś... Byłem przerażony. I ten niesamowity upał...

– Msze były nielegalne, odprawiane w podziemiu. W krajach arabskich nie ma tolerancji dla katolicyzmu, z pewnymi wyjątkami. Czasem chodziłem do więzienia i szmuglowałem Komunię św. Pewnego dnia spotkałem Hindusa, który przez przypadek zabił dwoje ludzi i został skazany na śmierć. Prawo arabskie jest bardzo drastyczne. Mógł go uratować tylko okup rodziny. Na jednej z mszy powiedziałem do zebranych, że mają moralny obowiązek uratować tego człowieka. I zebrali całą sumę potrzebną na wykup. To było niezwykle... Zdarzyło mi się też odprawiać msze w Iraku w dość niesprzyjającym momencie – podczas wojny z Iranem. Znajdowała się tam bardzo duża grupa Polaków (ok. 15 000), którzy po prostu tam pracowali, a nie było żadnego księdza.

W Emiratach ks. Józef sprawował nadzór techniczny (był przecież inżynierem) nad budową ośrodka katolickiego, składającego się z katedry, pałacu biskupiego, klasztoru dla sióstr, szkoły dla 1200 i przedszkola dla 400 dzieci oraz domu dla księży i personelu obsługującego ośrodek. Po kilku latach przeniósł się do Londynu i tu, do 1987 roku pracował w księgarni „Veritas” oraz w drukarni, jako jej kierownik. W Londynie założył Fundację Brata Alberta, która pomagała misjom polskim w Afryce i Indiach. Niestety Fundacja nie wytrzymała próby czasu.

NORWEGIA – FUNDACJA NA RZECZ POLSKI

– Wyjechałem do Norwegii na prawie 6 lat. Pracowałem jako duszpasterz, jeździłem po różnych ośrodkach, założyłem polską szkołę sobotnią, a także Fundację Cha-

rytatywną na Rzecz Polski, która działa do dziś. Zbieraliśmy dary od Norwegów i wysyłaliśmy do Polski. Pomagał nam rząd norweski... W Polsce była wtedy straszna bieda. W sumie udało się nam wysłać statek z 6 kontenerami i 102 tiry z darami o wartości ok. 20 mln dolarów – z dumą opowiada ks. Józef – A nawet dwa nowoczesne mikroskopy elektronowe dla Akademii Górniczo-Hutniczej w Katowicach. Był to prezent od Uniwersytetu w Oslo. Przez dwa lata byłem też kapłanem „*Północnego Skrzydła NATO*”.

UKRAINA – POWRÓT DO DOMU

– I tak dobiegłem 65 lat. Postanowiłem wrócić do korzeni i zgłosiłem się do pracy na Ukrainie, w Korcu... Bo moja rodzina pochodzi z Wołynia. Zostałem proboszczem... W 1943 roku była tam okropna rzecz – banderowcy wymordowali Polaków. Ci, którym udało się schronić w kościele, bronili się w nim kilka tygodni. Ocaliła ich Armia Radziecka. Ironia losu... Tu właśnie zginął pierwszy polski żołnierz w nocy 17 września 1939 roku. Kiedy tu przyjechałem w 1993 roku była niesamowita nędza. Co miałem robić? – I w tym momencie ks. Józef zatapia się w myślach, jakby szukając tej jednej, najistotniejszej.

– Dzięki Bogu rodzice zostawili mi spory majątek, korzystając więc z moich własnych pieniędzy i oczywiście funduszy, które udało mi się uzyskać w fundacjach charytatywnych, zacząłem działać. Odbudowałem spaloną plebanię i wyremontowałem przepiękny barokowy kościół. Założyłem też tartak i stolarnię w nadziei, że będę mógł zarobić na utrzymanie kościoła i siebie, a przy okazji dam ludziom pracę. Przed wyjazdem sprzedałem tartak Polakom z Ukrainy. Do dziś oddają mi pieniądze. Sprzedałem go oczywiście za 30% ceny, bo przecież to biedni ludzie. Pomagałem im jak mogłem. Tak naprawdę utrzy-

mywałem parafię. Staralem się pomóc też w sytuacjach naprawdę wyjątkowych, jak zebranie funduszy na operację stosu pancerzowego ślicznej, młodej dziewczyny. Potrzeba było 3 tys. dolarów. Połowę dałem ja, połowę Fundacja dla Polonii. Operację przeprowadzono w Zakopanem. Dziewczyna jest szczęśliwa, dobrze się czuje.

OTWOCK...

GALAKTYKA ANDROMEDY

– I w końcu wróciłem do Polski. Na Ukrainie spędziłem 10 lat. Po ciężkiej operacji serca przeszedłem na emeryturę. Teraz mieszkam w Otwocku, w Domu Księży Emerytów. Mam skończone 80 lat. Moje życie powoli się kończy. Niczego nie żałuję. Jestem zadowolony. Dziękuję Bogu, że miałem tak dużo doświadczeń. Tak wiele widziałem...

– Ale marzy mi się jeszcze, żeby zobaczyć Galaktykę Andromedy. Jest ona bardzo daleko, aż 630 mln lat świetlnych od nas, ale jednocześnie jest najbliższą galaktyką. Teraz jej nie zobaczę, ale po śmierci... może mi się uda... dotrzeć tam w innej już postaci. To moje najskrytsze marzenie. No bo cóż mogę jeszcze pragnąć?

ŚWIAT DZIECIŃSTWA... WOŁYŃ

– Często przypomina mi się dzieciństwo. Tęsknie za Wołyniem... Świat był wtedy prostszy, bez komputerów, telefonów. Byłem jedynakiem. Niczego mi nie brakowało. Ale lanie dostawałem jak się patrzy. Pamiętam przedszkole. Pierwszego dnia uciekłem, bo mi się nie podobało i potem szukali mnie przez cały dzień. A w szkole często się biłem... Nie można było się nie bić. To było nie honorowe. Niedawno była szkoła żydowska i często biliśmy się z nimi, ale nie dlatego, że byli to Żydzi, tylko dlatego, że była to inna szkoła.

Ks. Józef urodził się w Ostrogu nad Horyniem w 1927 roku. Zarówno ojciec

jak i matka pochodzą z Wołynia. Obie rodziny były ziemiańskie.

– Ojciec opowiadał mi, że kiedy przyszła rewolucja 1917 roku, chłopcy zaczęli napadać na dwory. Oblegali właśnie dwór naszych sąsiadów Muszyńskich, gdy ojciec pobiegł im z pomocą. Chłopcy z tamtego dworu chcieli go zabić. Ocalał, dzięki naszym chłopcom, którzy zabrali ojca mówiąc: „*Paszol won, to jest nasz pan, my sami go zarzujem*”.

OJCIEC... „UŁANI, UŁANI MALOWANE DZIECI...”

Ojciec ks. Józefa w wieku 17 lat wstąpił do Pułku Białych Kozaków. Po maturze dostał od rodziców Araba i poszedł do Tatarskiej Jazdy Jaworskiego, z której później powstał 19 Pułk Ułanów Wołyńskich. Pułk wstąpił się walkami z Budionnym, a następnie z bandami ukraińskimi oraz w bitwie pod Mokrą. Był również oficerem sztabu w Grodnie. Został już w wojsku jako oficer zawodowy w randze pułkownika. Często był przenoszony z miejsca na miejsce.

– Podczas jednego z pobytów w Warszawie, w 1933 roku brałem udział w niezwykłych wyścigach. Do Polski weszła wtedy pasta do zębów Colgate. W ramach reklamy przywieźli ze sobą samochodziki wyścigowe i zorganizowali wyścig w Alejach Jerozolimskich. Miałem wtedy sześć lat. Byłem drugi na mecie. Mój samochodzik miał numer 11.

W 1939 ojciec księdza otrzymał rozkaz zorganizowania obrony przeciwlotniczej w Grodnie. Ciężko ranny został internowany w Wilnie.

– To go ocaliło przed Katyniem. Innych oficerów wywieźli, on został w szpitalu, doszli do wniosku, że i tak niebawem umrze. Tata wyzdrowiał. Wystarał się o paszport w konsulacie i wyjechał do Francji. Po jakimś czasie i nas tam sprowa-

dził, mnie i mamę. Dostaliśmy się tam krętą drogą przez Skandynawię. Na Zachodzie ojciec był w Dywizji Spadochronowej gen. Sosabowskiego, a następnie w 10 Pułku Strzelców Konnych w Dywizji gen. Maczka.

SZEŚĆ SZKÓŁ

– W ciągu jednego roku szkolnego zaliczyłem sześć różnych szkół w sześciu różnych językach. Jak przyszli Niemcy byłem w Kostopolu u babci i chodziłem do ukraińskiej szkoły, potem w Lidzie – do rosyjskiej, w Wilnie chodziłem do litewskiej, w Paryżu do Gimnazjum Polskiego im. Norwida, potem jeszcze do francuskiej i na koniec – do angielskiej, a właściwie szkockiej – Gimnazjum OO. Benedyktynów w Szkocji. Tu zrobiłem maturę. Było tam gorzej niż w Korpusie Kadetów. Niesamowita dyscyplina. Nacisk na sport: latem – krykiet, zimą – hokej na lodzie, ciągle jakieś biegi, oczywiście kilkukilometrowe. Nie mieliśmy chwili wytchnienia.

LONDYN – CZAS POKOJU

– Po wojnie zostaliśmy już w Londynie. Ojciec dostał 100 funtów i cywilne ubranie jako odprawę z wojska i... zajął się remontem domów, a mama zajmowała się domem. W czasie wojny prowadziła hotel dla żołnierzy-rekonwalescentów.

Tutaj ks. Józef skończył Uniwersytet Londyński – wydział mechaniki oraz hydrodynamiki. Pracował jako inżynier w wielu firmach w Wielkiej Brytanii, na Bahamach, w Kanadzie, w USA, w Zambii i Tanganice. Ma na swoim koncie patent na specjalistyczne złącza, które były stosowane w Jumbo-Jetach, czyli Boeingach 747. Był też specjalistą od energetyki niekonwencjonalnej w instytucji charytatywnej, niosącej pomoc krajom „3-ego świata”. Po śmierci rodziców wstąpił do seminarium. Ale zanim to nastąpiło...

MOJE MIŁOŚCI

– Kochałem się w wielu kobietach. Czasem w dwóch, trzech na raz. Nigdy nie mogłem zdecydować się na jedną. No cóż... miałem po prostu powodzenie. Często chodziłem z nimi na tańce. Nawet wstąpiłem do studenckiego zespołu ludowego. Niestety brak zdecydowania spowodował, że moje sympatie powychodziły za mąż.

– Na Bahamach miałem śliczną dziewczynę. Była córka włoskiego biznesmena. Jego firma robiła pompy głębinowe. Miał jeszcze jedną córkę. Obie były ładne i pulchne. Pojechałem tam z kolegą. Szef często nas zapraszał na kolacje. W końcu doszliśmy do wniosku, że chce wydać córki za nas. I wtedy pomyślałem: „*fabryczka mała, a panna duża*” i nie zdecydowałem się. Byłem wówczas wielkim materialistą. I wyjechałem do Kanady. Ale mam jedną sympatię do dnia dzisiejszego. To jedna z moich pierwszych miłości. Wyszła za mąż, ale wybranek ją rzucił i wtedy ujawniła się u niej schizofrenia. Ma na imię Danuta. Jest malarką. Przywiozłem ją z Londynu do Otwocka, żeby móc się nią opiekować. Umieściłem ją u sióstr Obliczanek (Zgromadzenie Najświętszego Oblicza Chrystusa), na Żeromskiego. Opłaciłem jej dożywny pobyt. Codziennie ją odwiedzam. Oby Bóg pozwolił jej żyć jak najdłużej. Jest niezwykłą kobietą.

Katarzyna Grabowska

[Katarzyna Grabowska, „*Galaktyka Andromedy. Józef Kozłowski: inżynier, biznesmen, ksiądz*”, [w:] „Linia Otwocka” z 11 stycznia 2008 roku.

Tekst w 2009 r. był dostępny w Internecie na stronie:

<http://linia.com.pl/public/article.php?5-14190-0>



W sobotę, 7 stycznia 2017 roku,
zmarł w wieku 88 lat,
z tego w kapłaństwie 35 lat

ś.†p.

Ks. Kanonik Józef Adam Kozłowski

Emeryt, posługiwał w Iraku, Londynie,
Norwegii i na Ukrainie.

Msza święta pogrzebowa zostanie odprawiona w poniedziałek 16 stycznia 2017 roku o godz. 12.00 w parafii św. Wincentego á Paulo, przy ul. Mikołaja Kopernika 1 w Otwocku, po czym Ciało zostanie złożone na miejscowym cmentarzu

Dobry Jezu, okaż Ks. Józefowi swoje miłosierdzie!

Kanclerz Kurii
oraz Duchowieństwo Archidiecezji
Warszawskiej



Dziedzictwo - Спадщина

ŚLADY DZIAŁALNOŚCI HARCMISTRZA KS. JÓZEFA KUCZYŃSKIEGO I GRONA JEGO ZNAJOMYCH

Cz. 2/3

W dniu 30 września 1939 ukonstytuował się w Paryżu Rząd Polski na emigracji. Po zajęciu przez Niemców Francji działał w Londynie. Koordynował on także walkę z okupantami w kraju. Nowy prezydent Władysław Raczkiewicz powierzył misję utworzenia rządu dowódcy wojsk polskich we Francji, gen. Władysławowi Sikorskiemu. W dniu 6 października gen. Władysław Sikorski opublikował odezwę do narodu polskiego, w której oświadczył, że celem Rządu Jedności Narodowej będzie „*odbudowanie Polski wielkiej i rządnej, która będzie dla wszystkich swoich obywateli na równi sprawiedliwa*”.

Dwa dni później Adolf Hitler po przyłączeniu do Rzeszy Niemieckiej polskich województw zapowiedział totalną germanizację. Akcję tą poprzedziło rozstrzelanie 16 tysięcy polskich działaczy politycznych.

W tym czasie po zebraniu organizacyjnym Głównej Rady politycznej przy organizacji podziemnej **Służba Zwycięstwu Polski** rozpoczęto wydawanie pism konspiracyjnych. Konspiracyjna organizacja **Komenda Obrońców Polskich** rozpoczęła wydawanie periodyku „**Polska żyje**”. Wydawano go niemal do rozpoczę-



Grób ks. Józefa Kuczyńskiego
na cmentarzu w Wierzbowcu

Fot. Marek A. Koprowski

cia Powstania Warszawskiego w dniu 1 sierpnia 1944. Natomiast „Biuletyn Informacyjny” wydawany był przez organizację konspiracyjną, najpierw przez **Służbę Zwycięstwu Polski** (SZP) przemianowa-

na następnie na Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) i Armię Krajową (AK) od 5 listopada 1939 do 19 stycznia 1945. W dniu 20 kwietnia został utworzony w Warszawie Związek Odwetu jako wydzielony członek konspiracyjny ZWZ, przewidziany do akcji dywersyjno-bojowych i sabotażowych.

Wielkim echem odbiła się w Polsce niemiecka akcja: Sonderaktion „Kraukau”. Z aresztowanych 183 naukowców Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie wywiezionych do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen zmarło 13 profesorów. Władze niemieckie coraz to częściej urządziły masowe egzekucje polskich obywateli podejrzanych o działalność konspiracyjną.

Akcję powstańczą zorganizowaną w Czortkowie w Tarnopolskim w dniu 21 stycznia 1940 r. stłumiło NKWD aresztując 100 osób. Niedługo potem w dniu 8 lutego Niemcy utworzyli w Łodzi pierwsze, największe w Polsce getto na terenach włączonych do Rzeszy a 27 marca 1940 rozpoczęli budowę obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Niemcy i Sowieci prowadzili równoległe akcję wyniszczania narodu polskiego zaczynając od elit w różnych dziedzinach działalności. 2 maja 1940 r. odjechał z Warszawy pierwszy transport 1,5 tys. więźniów do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Zgodnie z dwustronnym traktemem z Niemcami zawartym 28.09. 1939 Rada Najwyższa ZSRR zatwierdziła już w dniach z 1/2 listopada przyłączenie terytoriów Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSRR a od 1-ego listopada utworzono na Wołyniu 3 Obwody: Równieński, Tarnopolski i Wołyński.

29 listopada 1939 roku Rada Najwyższa ZSRR wydała dekret, na pod-

stawie którego na terenach zajętych przez ZSRR nadano przymusowo obywatelstwo radzieckie wszystkim „byłym obywatelom polskim, którzy znajdowali się na terenach zachodnich okręgów Ukrainy i Białorusi w chwili, gdy stały się one częścią ZSRR”.

Zgodnie z tajnym rozkazem władz naczelnych NKWD, numer 001223, podległe im organy sporządziły listy osób przeznaczonych do deportacji z zajętych przez Związek Sowiecki terenów Białorusi, Litwy i przedwojennej Polski.

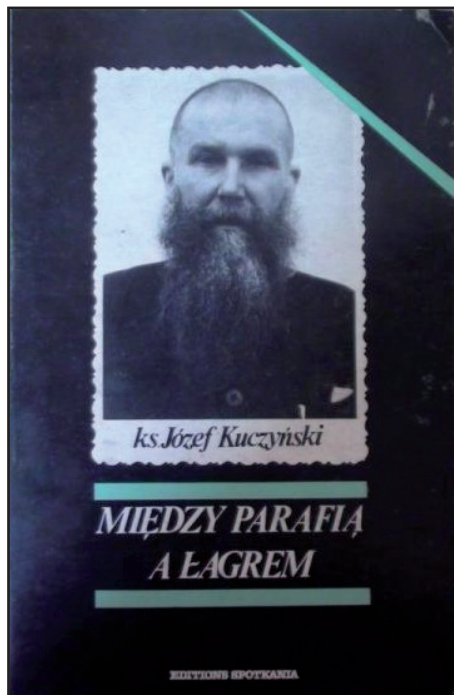
W I. transporcie znaleźli się aresztowani w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r., łącznie około 220-250 tysięcy osób, głównie narodowości polskiej oraz Białorusinów, Ukraińców i Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Aresztowania objęły głównie funkcjonariuszy państwowych i samorządowych, osadników rolnych, leśniczych, gajowych, adwokatów, właścicieli zakładów przemysłowych, posiadaczy majątków ziemskich, wojskowych, policjantów i członków organizacji konspiracyjnych, m. in. ZWZ. Deportowano ich głównie na teren północnego Kazachstanu.

Na podstawie uchwały Biura Politycznego KC WKP(b), podpisanej 5 marca 1940 przez J. Stalina, W. Mołotowa, K. Woroszyłowa, A. Mikojana, Ł. Kaganowicza, M. Kalinina zatwierdzającej projekt Ł. Berii, ludowego komisarza spraw wewnętrznych (NKWD), rozstrzeliwano bez sądu przetrzymywanych w obozach jenieckich i więzieniach obywateli polskich, głównie oficerów, urzędników, policjantów, ziemian, przemysłowców i innych.

Na wiosnę 1940 roku doszło do jednej z największych zbrodni ludobójstwa w obozach jenieckich, w których Sowieci przetrzymywali oficerów pol-

skich. 3 kwietnia 1940 funkcjonariusze NKWD rozstrzelali w Katyniu pierwszą grupę oficerów polskich więzionych od jesieni 1939 w obozie w Kozielsku. Uwięzionych w Starobielsku rozstrzelano w Piatichatkach pod Charkowem a jeńców z Ostaszkowa zabijano w więzieniu w Twerze a grzebano w Miednoje.

W Katyniu zginęło 4400 polskich jeńców wojennych a w tym wielu mieszkańców Wołynia i znanych działaczy harcerskich, takich jak m. in.: **Władysław Nekrasz** (1893-1940), inżynier rolnik, który brał udział w obronie Lwowa, harcmistrz, członek Kręgu Starszo-Harcerskiego w Kowlu (1920-1930), komendant Chorągwi Wołyńskiej w latach 1926-1930, major WP, od 1929-1935 urzędnik Banku Rolnego najpierw w Łucku a od 1935-1939 w Warszawie. Ranny w 1939 w walkach pod Stanisławowem, internowany w Starobielsku, jako oficer rezerwy WP, kapitan artylerii, został zamordowany przez NKWD w 1940 w Katyniu. Podobnie **Jan Malczewski**, podharcmistrz, członek Gromady z Łucka, oficer rezerwy WP, ppor. artylerii, więziony w Kozielsku, został zamordowany przez NKWD w Katyniu **Adam Domalewski**, harcerz ze Zdołbunowa, jako oficer rezerwy WP, por. KOP, został zamordowany w Katyniu, podobnie jak porucznik artylerii **Zbigniew Florkiewicz**, były harcerz z Kowla, ppor. WP. Zginęli tam harcerze z Hufca Łuckiego: ppor. rezerwy **[Urban] Antoni Wawrzynowicz** (*1905), więziony w Kozielsku; lekarz wojskowy ppor. **Wacław Trochimowicz** (*7. IX 1908); harcerze z Hufca Rówieńskiego: komendant **Stanisław Kulawik** (*1904), więziony w Starobielsku, kapitan z 45 p. p. w Równem; kapitan **Józef Borkowski**, więziony w Kozielsku; byli harcerze z Hufca Sarneńskiego: **Tadeusz Wawrzynowicz** (*16.



IX 1911), sędzia grodzki i **Józef Świerk** z 53. p. p.; były harcerz z Hufca krzemienieckiego kapitan **Włodzimierz Bolesław Rychlicki**; druh **Bronisław Korzeniowski**, kierownik szkoły w Kostopolu, kapitan rezerwy. W Katyniu został także zamordowany kapelan wojskowy **ks. Michał Tyszka** (1906-1940).

W latach 1939-1941 Sowieci wyeliminowali ważny trzon elity polskiej inteligencji na Wołyniu.

W II. transporcie deportowanych do pracy przymusowej w ZSRR znaleźli się aresztowani w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 obywatele polscy, a wśród nich moja Mama **Halina Klisowska**. Liczba deportowanych wyniosła około 320 tysięcy osób, głównie kobiet i dzieci, należących do rodzin wcześniej aresztowanych wojskowych, z których największa licz-

ba znalazła się w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku oraz w licznych łagrach na dalekiej północy. W jednym z nich o nazwie Jercewo, koło Archangielska, znalazł się mój ojciec **Mieczysław Klisowski** razem z pisarzem **Gustawem Herling-Grudzińskim**. W listopadzie 1941 roku z liczby dwustu Polaków pozostało w tym łagrze sześć osób. Kiedy w latach 1949-1950 Herling-Grudziński spisywał swoje wspomnienia w książce p.t. „*Inny Świat*”, m. in. z pobytu w łagrze Jercewo, określił każdego z Polaków, którzy przedostali się później nielegalnie do Armii gen Andersa, tylko jednym inicjałem. Miało to zapobiec ich identyfikacji i prześladowaniu rodzin w Polsce w okresie powojennym. Podanie prawdziwych nazwisk i zawodów mogłoby narazić ich bliskich na represje. Opisał on mojego Ojca Mieczysława w nieco sfabularyzowany sposób, przedstawiając go pod literką „M.”, jako inżyniera leśnika. W obozie tym mój Ojciec pracował bardzo ciężko przy wyrębie lasów. Za 3 nieudane próby ucieczki skazano mojego Ojca najpierw na śmierć a potem zamieniono mu wyrok na 10 lat łagru. Moja rodzina wysyłała Ojcu paczki żywnościowe aż do wkroczenia Niemców do Łucka. Od nas miał adres mojej Mamy wywiezionej do Kazachstanu. Pomimo, że wysyłał do Niej listy, jak pozwalano, tylko raz w miesiącu, żaden z nich nie dotarł do Niej.

Trzecia wielka deportacja obywateli polskich, dokonana w dniach od 20-30 czerwca 1940, objęła szacunkowo od 250-400 tys. osób. W transporcie znaleźli się głównie uchodźcy z centralnej Polski, w dużej części Żydzi, rolnicy i rodzeni urzędników. Wywieziono ich głównie do obszarów leśnych republik: Baszkijskiej, Czuwaskiej, Maryjskiej, na północny Ural i na Syberię.

Już na początku roku 1940 **Adolf Szelażek**, ks. bp ordynariusz diecezji łuckiej, utworzył **Komitet Pomocy** dla przesiedlonych i deportowanych. Komitet ten działał przez okres: dwóch okupacji sowieckich i jednej niemieckiej. Kiedy moją Mamę deportowali Sowieci do Kazachstanu Komitet ten już działał, a ks. bp A. Szelażek wysłał jednego z księży aby udzielił w Jego imieniu abszolucji ogólnej na wypadek śmierci. Towarowy pociąg stał w Łucku 3 dni, w czasie których dowożono ciągle nowych zesłańców. Do pociągu nie dopuszczano nikogo z bliskich i dopiero po dotarciu do Zdobunowa pozwolono wyjść zesłańcom na peron. Moja Mama, Halina Klisowska tak to opisała w swoich wspomnieniach: „...*Wkrótce stanęliśmy w Zdobunowie. Mieszkańcy tego miasta wiedzieli już o tym i szukali swoich bliskich. Nagle, tuż przed samym odjazdem ujrzałam twarz mojej koleżanki szkolnej Zosi Michelsonówny, która szukała bezskutecznie swojej siostry. Po chwili wróciła i podarowała mi bochen chleba i litr słodkiego mleka. Był to mój posiłek aż do granicy w Szeptówce. Na tej ostatniej polskiej stacji wyszedł na peron przez nikogo nie oczekiwany nasz polski kapłan z krzyżem w ręku. Błogosławił nam mówiąc te słowa: «Oto niech będą wam odpuszczone grzechy popełnione i te, które może popełnicie na obczyźnie. Zachowajcie wiarę w swych sercach i zawsze postępujcie według Przykazań Bożych!»... Z naszego pociągu, a także z innych jadących z więźniami na wschód, rozbrzmiewały polskie pieśni religijne. Wszystko wskazywało na to, że jedziemy na Sybir starym szlakiem naszych rodaków, wśród których kiedyś był mój dziadek, powstaniec styczniowy, Józef Antoni Świącicki. ...Rankiem dnia 1 maja 1940 r. przyjechaliśmy do Pawłodaru. Kiedy kazano nam opuścić wagon na obrzeżu mia-*

sta oczom naszym ukazał się rozległy widok aż po kraniec horyzontu. Nigdzie nie było ani krzaczka ani drzewa. Po drugiej stronie torów kolejowych był ogromny plac ogrodzony bardzo wysokim szczelnym drewnianym płotem. W drodze na ten plac musieliśmy przejść obok cmentarza wspólnego dla chrześcijan i muzułmanów. Znajdował się on na szlaku zesłańców różnych narodowości i religii. Również z naszego transportu pochowano tu znaną mi z widzenia mieszkankę Łucka o imieniu Ludmiła mieszkającą przedtem na Krasnem. Na placu stał ponuro wyglądający drewniany budynek oraz rząd ciężarówek. Po zapelnieniu placu przez ludzi z transportu odnajdywali się znajomi. Spotkałam tu kilka koleżanek harcorek z Gimnazjum im. T. Kościuszki w Łucku deportowanych tym samym pociągami. W ciągu dnia słońce zaczęło przygrzewać coraz to mocniej a wieczorem temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Stroskane matki rozkładały na gołej ziemi swoje pierzyny, na których układały dzieci do snu a same pełniły przy nich dyżur. Z baraku przyniosłam w butelce gorącą wodę, zwaną tu «kpiatok» i podzieliłam się nią z panią **Pelagią Macioszek**, stojącą jak posąg nad swymi dwoma córeczkami, **Tereską** i **Marylką**. Deportowano ją jako żonę polskiego policjanta. Po dwóch nocach spędzonych na placu dopiero na trzeci dzień zaczęto rozwozić ludzi na miejsce ich deportacji. Po przejechaniu około 120 km dotarliśmy do kołchozu **Lebiaż** położonego nad **Irtyszem**. „Przywitał” nas tutejszy naczelnik NKWD w towarzystwie milicjanta. Poinformował, że możemy sobie poszukać kwatery u miejscowych ludzi i że będziemy pracować w Magazynach Zbożowych przy młynie, oraz że możemy korzystać ze stołówki i klubu. Objawił, że jest na miejscu Urząd Pocztowy i Radiowęzeł. Zanim podjęliśmy pra-

cę musieliśmy prowadzić handel wymieniony z tubylcami aby zdobyć jakieś produkty żywnościowe, bowiem nie chcieli nic sprzedać za ruble. Na przywódcę naszej grupy wybraliśmy mgr **Władysława Teleżyńskiego**, deportowanego razem z matką z Łucka. Jego żona z dzieckiem uniknęła deportacji. W naszej grupie znaleźli się: studentka **Halina Studzińska** deportowana z Łucka z matką i siostrą **Ślawą**, lekarką, **Hubertową** po mężu oficerze zamordowanym w Katyniu [Starobielsk; Jan Andrzej Hubert (*13. X 1910), ppor. rez., 44 p. p.]; **Natalia Piotrowska**, żona policjanta, deportowana z Łucka; **N. Chojek**, żona Edmunda, majora zamordowanego w Katyniu, z córką; **Genowefa**, po mężu **Denis**, która urodziła syna w **Lebiażu**; **Maria Chrzóstowska**; **Zina Kruć**, Rosjanka z Łucka, żona byłego oficera carskiego, **N. Zarembina**, żona oficera z córką, do których po amnestii przyjechał mąż i ojciec; **Feliksa Czarna**, żona **Mariana**, kaprala, policjanta zamordowanego w Katyniu [zob. lista z **Ostaszkowa**] z córką **Haliną**; **N. Rajkowska**, żona policjanta z Łucka, z córkami: **Stanisławą** i **Izabelą**; dwie nauczycielki z Łucka: **Szotnijewa** i **Żebrowska** a wg. **T. Mikulskiego** (op. cit.) **Żerebecka**, **Brenenzstulowa** z synem **Ryszardem**; **N. Moroz** z córką **Haliną**, prawdopodobnie żona **Pawła** (*1913) ppor. artylerii zamordowanego w Katyniu.

Magazyny Zbożowe, w których podjęliśmy pierwszą pracę, znajdowały się na wzgórzu w pobliżu przystani rzecznej na **Irtyszu**. Zatrzymywały się tu statki, na które ładowano zboże dostarczane z magazynów, w których pracowaliśmy. Pracę codzienną rozpoczynaliśmy głośnym śpiewaniem pieśni religijnych. Ponieważ nie przerywaliśmy jednak przy tym pracy zastępca dyrektora nie zabronił nam śpiewania. Obiady jadałyśmy w stołówce. Składały się one zwykle z zupy z kruska-

mi i słonecznikowym olejem, zupy rybnej z jagłami lub z kaszy jaglanej z masłem. Ziemiaków tu nie znano i nie uprawiano. Przywieźli je dopiero ze sobą deportowani Ukraińcy, którzy je zasadzili i w jesieni zebrali z nich plony. W bardzo prymitywnych warunkach bytowania na początku naszego pobytu dręczyły nas różne infekty. Na prymitywnej kwaterze zamieszkała ze mną poznana na placu w Pawłodarze pani Pelagia Macioszek z dwoma córeczkami: Tereską i Marylką. Wspierałyśmy się duchowo i pomagałyśmy sobie w tych trudnych warunkach. Kilkakrotnie zmieniałyśmy mieszkanie aby przed zimą przeprowadzić się na kwaterę do domku zbudowanego przez jedną z wielu rodzin deportowanych Ukraińców pochodzących ze wschodniej Ukrainy, należącej przed 1939 do ZSRR. Pracowaliśmy od 5 rano do 10 a potem od godziny 15-18. Po wysłaniu telegramu do rodziny w Łucku zaczęłam otrzymywać paczki od teściowej Rozalii Klisowskiej, od Mamy Marii i brata. Były w nich tak ważne artykuły jak słonina, cebula, suchary, cukier, kasze, miód, konfitury, bielizna i ubrania. Naszą brygadę kierowano do różnych prac najpierw w Magazynach Zbożowych a potem do sianokosów i do prac budowlanych powstającej szkoły. Z czasem rozpadła się nasza brygada, ponieważ poszczególnym osobom powierzano inne prace. Lekarzkę, Sławę Hubertową zatrudniono w «szpitalu», który na razie miał tylko jeden pokój z jednym łóżkiem. W okresie zimowym mnie i 16 letniej Halince Czarneckiej powierzono dwa zaprzęgi sań ciągniętych przez byki. Miałyśmy za zadanie przywieźć na nich cegły z cegielni znajdującej się daleko na stepie. Potem musiałyśmy rozrabiać glinę na mrozie jako zaprawę murarską dla zduna stawiającego piec w budowanej szkole, oczyszczać z lodu deski na rusztowaniach. O sile panującego mrozu

świadczył fakt zamrożenia wody w Irtyżu już 12 października 1940. Wykonane prace na mrozie odbiły się na moim zdrowiu. Kiedy miejscowa pracownica poczty zachorowała musiałam ją zastąpić, nadawać i odbierać telegramy oraz roznosić listy. Miałam za to dostęp do sowieckiej prasy. Pierwszą Wigilię, z dala od bliskich, spędziłyśmy z Pelagią Macioszek i jej dwoma córeczkami dzieląc się zamiast opłatka chlebem i spożywając zdobyty przez nią, rybą zwaną «Nalinia». Nasze myśli wędrowały do rodziny. Pomyślałam o pozostawionym synku, którego aktualne zdjęcie przysłali mi teściowie i o mężu znajdującym się w łagrze koło Archangielska”.

Mój stryj Jerzy Klisowski napisał w swoich wspomnieniach z początku okupacji sowieckiej: „nasza rodzina rozpoczęła poszukiwanie pracy, bowiem władza ukraińska ustabilizowała się. Najlepsze stanowiska zajęli Ukraińcy i Żydzi. Od 1 lutego 1940 zostałam przyjęty do pracy na poczcie Łuck w charakterze księgowego... W pierwszym okresie propaganda radziecka wszystko robiła, aby udobruchać Ukraińców a po pół roku zaczęto wywozić bogatszych gospodarzy ukraińskich w głąb ZSRR a na biedniejszych nakładać duże podatki po odmówieniu przez nich przystąpienia do kolchozów. Gospodarze ukraińscy, aby zapłacić nałożone na nich podatki musieli wyprzedawać swój dobytek a jak zabrakło im pieniędzy władze radzieckie wysyłały ich do więzienia. Więźniów politycznych rozstrzeliwano na miejscu albo wywożono do łagrów. Kiedy władze radzieckie zaczęły opuszczać Łuck uciekając przed nadchodzącymi (od 22 czerwca 1941) wojskami niemieckimi, NKWD i konfidenci zaczęli masowo rozstrzeliwać tych więźniów, których nie zdążyli wywieźć do łagrów w głąb ZSSR. Ludzie mówili, że w więzieniach Łucka było

ich około 2 tysięcy. Z tych więźniów uratowało się około 100 ludzi, którzy upadli ranni po pierwszych strzałach i znaleźli się pod trupami następnym rozstrzelanych. Egzekucje trwały około 2 godzin. Działo się to do 24 czerwca 1941 roku”. Wśród cudownie uratowanych znalazł się ksiądz **Władysław Bukowiński**, proboszcz parafii katedralnej w Łucku. Masowe mordowanie więźniów przez NKWD miało miejsce także w Dubnie, Kowlu, Krzemieńcu, Ostrogu, Równem, Sarnach i Włodzimierzu Wołyńskim (Zob.: Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko. „Ludobójstwo dokonane na ludności polskiej Wołynia 1939-1945”, Tom I, Warszawa 2000, s. 76.) we Lwowie i innych miastach galicyjskich.

Warto podkreślić, że w planach sowieckich było przewidziane „oczyszczenie” z elementów polskich wszystkich terenów II RP zajętych przez ZSRR. Instrukcja NKWD z 29 grudnia 1939 ustaliła harmonogram przesiedlania Polaków z zachodnich obwodów USRR i BSRR na podstawie spisów rodzin podlegających deportacji. Najpierw na listę trafiały rodziny urzędników, wojskowych i funkcjonariuszy państwowych, nauczycieli, policjantów, leśników i kolejarzy. Zgodnie z zarządzeniem wszyscy mieli obowiązek oddania posiadanej broni oraz odbiorników radiowych. Rodzina Klisowskich nie zastosowała się do tych zarządzeń. Moja ciocia, Helena Jakubowska, urzędniczka państwowa była 2 razy na przesłuchaniach w NKWD. Trzeci raz miała się stawić w dniu kiedy Rosjanie już uciekali przed Niemcami i oczywiście nie stawiała się na przesłuchanie, co uratowało Jej życie. Dziadek mój, organizator Urzędu Wojewódzkiego w Łucku, były referent wojskowy w Starostwie, pomimo że był od 1935 roku na emeryturze, po wejściu Sowietów do Łucka obawiał

się aresztowania i rozchorował się. Stracił na wadze 36 kilogramów. O Jego popularności u społeczności miasta świadczył fakt, że w 1935 roku jako demokratą miał propozycję ze strony mniejszości narodowych, które reprezentowali w rozmowie Żydzi, kandydowania na prezydenta Łucka. Na gorącą prośbę mojej babci, Rozalii, nie przyjął tej propozycji. W okresie choroby dziadka kilkakrotnie odwiedzali Go sowieccy funkcjonariusze zainteresowani jego stanem zdrowia aby Go poddać „gruntowniejszym” przesłuchaniom. Interesowali się tym, co się stało z wziętymi do wojska Jego synami. Dziadek mój wyzdrowiał dopiero po wejściu Niemców. Do końca I Wojny Światowej był bowiem oficerem austriackim i urzędnikiem w Urzędzie Namiestnikowskim we Lwowie a potem w Tomaszowie Lubelskim a ponieważ znał znakomicie język niemiecki i posiadał liczne odznaczenia austriackie liczył na to, że znajdzie jakąś pracę aby móc utrzymać rodzinę.

19 kwietnia 1940 nacjonaści ukraińscy reprezentujący OUN-M (plk. Andrija Melnyka) i OUN-B (Stepana Bandery) złożyli na Wawelu deklarację lojalności wobec III Rzeszy na ręce generalnego gubernatora Hansa Franka. Skrajnie faszystowska nacjonalistyczna ideologia OUN, sformułowana przez Dmytra Doncowa, zakładała usunięcie przemocą z ziem, które mają znaleźć się na terytorium przyszłego państwa ukraińskiego, wszelkich obcych elementów. Do należnych im terytoriów zaliczyli także i te, gdzie stanowili tylko mniejszość.

Stryj Jerzy opisał w swoich wspomnieniach okres zmiany okupacji: „*Niemcy weszli do Łucka pod wieczór 25 czerwca [1941], około godziny 16-18. Była to pierwsza linia frontu. Dopiero na drugi dzień weszły regularne wojska, które za-*

częły tworzyć tymczasową władzę złożoną przeważnie z Ukraińców, ale nie komunistów. Pod nadzorem Niemców zostały utworzone policja ukraińska i władze miejskie. Po oddaleniu się frontu został utworzony Urząd pod rządami wyższych oficerów niemieckich, tzw. Generalny Komisariat do spraw Apropowizacji i Rolnictwa. W tym urzędzie ojciec został zatrudniony jako kierownik intendentury. Miał pod sobą niższy personel biurowy i gospodarczy. Płaca ojca wynosiła 1100 karbowańców i była zbyt niska aby wyżywić całą rodzinę, dlatego wszyscy musieli pracować. 15 lipca otrzymałem sezonową pracę księgowego w Urzędzie Dróg Wodnych w Łucku a od 1 października stałą pracę księgowego w Generalnym Komisariacie Apropowizacji i Rolnictwa w Łucku... W 1942 roku pojawił się w Łucku mój brat [Władysław], który otrzymany urlop za pracę u Bauera wykorzystał do ucieczki. Jego kolega szkolny, Niemiec, wystawił mu odpowiednie zaświadczenie pozwalające na zameldowanie się w Łucku i otrzymanie pracy. Otrzymał ją w firmie związanej z ubojem zwierząt. Oprócz wynagrodzenia za pracę otrzymywał co tydzień deputat w postaci 6 kg kości na zupę. W marcu 1943 zaczęła się już nie sporadyczna lecz masowa rzeź Polaków dokonywana przez Ukraińców, przeważnie na wsi, gdzie nie było ani wojska niemieckiego ani policji. Tylko w jednym dniu zostało wyrżniętych 2800 osób tylko na terenie Wołynia. Nie przygotowani do samoobrony Polacy zaczęli uciekać ze wsi do miasta. Niemcy to wykorzystali i rozpoczęli wywózkę na przymusowe roboty do Niemiec. U nas w mieszkaniu w Łucku, na przedmieściu «Krasne», przy ulicy Włodzimierskiej 15 zamieszkały 3 rodziny Jakubowskich ze wsi Aleksandrówka, oddalonej o 15 km od Łucka. Przybyło 7 osób dorosłych i 10 dzieci z furą siana i krową.

Wszyscy spali na podłodze. Od tego czasu poprawiła się w domu sytuacja z żywnością. Nie trzeba było kupować mleka, mąki, ziemniaków, warzyw i mięsa a w zapasie był samogon, skuteczny w razie chorób. Kobiety i dzieci zostawały w Łucku a mężczyźni przebywali na wsi, bo tam była chudoba, którą trzeba było obrządzić oraz przygotować się do obrony w razie napałów band ukraińskich. Niemcy w dalszym ciągu łapali Polaków i wywozili do Niemiec. W jednej z takich łapanek w dniu 17 maja 1943 znalazłem się także i ja. Wywieziono mnie na roboty przymusowe do Królewca”.

Tu trzeba dodać, że przyjęcie do naszego domu uciekinierów przed rzezią ze strony nacjonalistów ukraińskich odbyło się za pośrednictwem księży z Katolickiego Komitetu Opieki, działającego przy katedrze w Łucku. Komitet zaopatrywał uchodźców w żywność i wyszukiwał dla nich miejsca u polskich rodzin. Pracami Komitetu kierował ks. Zygmunt Chmielnicki przy współpracy z innymi księżmi, wśród których był, m. in. **proboszcz ks. Władysław Bukowiński**. Natomiast opieką nad sierotami zajmowały się siostry zakonne w budynku przy katedrze. Przy ogromnym zagęszczeniu ludności pojawiały się często choroby. Po jednej z wizyt u chorego zaraził się tyfusem ksiądz **Bronisław Poško, prefekt, sekretarz Kurii**, kapłan z katedry. Jego postać utkwiała mi w pamięci, bowiem kiedy jako dziecko byłem z ciotką Heleną Jakubowską w katedrze, ciotka modliła się klęcząc a ja w tym czasie chodziłem sobie i ogłądałem obrazy znajdujące się w świątyni. Kiedy ksiądz Poško zwrócił mi uwagę, że powinienem zachowywać się grzecznie, ja Mu na to powiedziałem, że dobrze i dodałem, niemal proroczo, że ksiądz niedługo umrze. Kiedy dowiedziałem się o Jego śmierci w dniu 22 lutego 1944 r. było mi

bardzo przykro i pomodliłem się w Jego intencji. Zdjęcie księdza Bronisława mam do dzisiaj w domu.

Z powodu braku pełnych informacji warto wspomnieć, niestety tylko fragmentarycznie, o roli starszego harcerstwa w okresie II Wojny Światowej. Wykorzystuję tu dane podane nie tylko przez stryja Władysława Klisowskiego, uzupełnione częściowo, m. in. na podstawie pracy Władysława Goszczyńskiego, „*Wołyńska Chorągiew Harcerzy. Szkic Historyczny*” (maszynopis pod tą samą sygnaturą w Inwentarzu Rękopisów ZN im. Ossolińskich we Wrocławiu) i innych źródeł, wśród których znalazły się relacje innych autorów znajdujące się pod tą samą sygnaturą, rękopiśmienne wspomnienia mojego stryja Jerzego i mojej matki Haliny, z domu Święcickiej oraz wiadomości uzyskane za pośrednictwem internetu.

W czasie okupacji niemieckiej i sowieckiej w latach 1939-1945 cały Związek Harcerstwa Polskiego nosił konspiracyjny kryptonim „Szare szeregi”, nadany 27.09. 1939 przez grono członków Naczelnej Rady Harcerskiej, współpracujący z Delegaturą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj oraz z Komendą Główną Armii Krajowej. Harcerki działały po kryptonimem B.G. (Bądz Gotów). W roku 1944 utworzono z harcerzy, walczące w Powstaniu Warszawskim, bataliony AK: „Zośka”, „Parasol” i „Wigry”. Harcerki działały w służbie sanitarnej, łączności i sabotażu. Oczywiście w okresie początkowym tajnych, zakonspirowanych organizacji było wiele, jak podaje się było ich około 150. Dopiero później trwał proces ich jednoczenia.

Organizacja przedwojennego harcerstwa istniała do zakończenia wojny. „*Mniej więcej rok po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej*”, jak podaje hm Władysław Goszczyński, „*zaczęły na Wołyniu*

powstawać załączki Armii Krajowej (AK). Oprócz walki z okupantem miała ona za cel: obronę życia i mienia polskiej ludności przed ukraińskimi nacjonalistami”. W Szarych Szeregach Chorągiew Wołyńska nosiła kryptonim ul. „Gleba”. Niestety zebrany dotychczas materiał dotyczący działalności wołyńskich harcerzy jest nie pełny z różnych względów.

W Dodatku Specjalnym IPN: „*Harcerze w walce 1939-1945*” podano:

„*Harcerstwo należało do najważniejszych i największych organizacji młodzieżowych w Polsce w XX wieku.... Gdziekolwiek przyszło im działać, harcerze i harcerki wypełniali swoją ofiarnością i danią krwi przyrzeczenie służby Bogu, Ojczyźnie i Bliźnim*”.

Jak podała Aleksandra Pietrowicz w artykule „*Konspiracyjna działalność harcerstwa wielkopolskiego podczas II wojny światowej*” (w: „*Nowe Państwo. Niezależna Gazeta Polska*” 10/2010): „*Konspiracyjne organizacje tworzone przez młodzież harcerską powstawały spontanicznie od pierwszych miesięcy okupacji*”.

Gestapo było, podobnie jak NKWD, zaangażowane czynnie w niszczeniu polskiej inteligencji i zwalczaniu ruchu oporu. Z gestapo i NKWD współpracowali mieszkający na terenie przedwojennej Polski przedstawiciele innych narodowości. Od pierwszych dni wojny na wschodnich terenach uaktywnił się nacjonalizm ukraiński, którego ofiarami stali się m. in. najpierw wracający do domów żołnierze a potem bezbronni cywile. Ruch oporu i samoobrony dyktował Polakom szukanie różnych dróg do działań konspiracyjnych. **Harc mistrz kowelski Ignacy Stefanek** wstąpił do Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) już w listopadzie 1939. Był kwartmistrzem w komendzie obwodu Tomaszów, Hrubieszów, Krasnystaw, Zamość. Pod pseudonimem „**Andrzej**” współpra-

cował ze **Stefanem Prusem** używającym pseudonimy: „Jan” i „Adam”. Gestapo aresztowało go w lutym 1941. Wywieziony do Auschwitz został zamordowany w 1943 (nr obozowy: 14036). **Jan Dutkiewicz**, członek Komendy Hufca Harcerskiego w Kowlu (1921-1925), oficer rezerwy saperów, uczestnik kampanii wrześniowej (1939), działał w ruchu oporu pod pseudonimem „Mały Jasio”, był łącznikiem między Komendą Lubelską a Komendą Główną Obrońców Polski (KOP), kolportował pismo „Polska Żyje”. Został aresztowany przez gestapo i zamordowany w Auschwitz w 1941. **Stanisław Szczepanowski** (*13. II 1905), członek Komendy Hufca Harcerskiego w Kowlu, mierniczy przysięgły w Lublinie, organizator komórki Komendy Obrońców Polski (KOP) w Lublinie, pseudonim „Szary”, uczestniczył w ukryciu obrazu „Grunwald” Jana Matejki, kolportował pismo „Polska Żyje”. Po aresztowaniu przez gestapo w kwietniu 1941 został zamordowany w Auschwitz w grudniu tegoż roku. **Stefan Różański** (*1900), mierniczy, jeden z komendantów Hufca Harcerskiego w Kowlu, żonaty z harcerką **Lolą Rusiłowicz**, uczestnik kampanii wrześniowej, oficer Armii Krajowej (AK), prowadził wydział fałszywych dokumentów w Chełmie. Po aresztowaniu przez gestapo został przewieziony do Warszawy i stracony na Pawiaku. **Henryk Witkowski** (*1912), były członek Męskiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, absolwent Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim (1934), uczestnik walk kampanii wrześniowej, członek AK, został aresztowany i rozstrzelany na Zamku w Lublinie w 1944. **Czesław Swieciński**, druzynowy w Dubnie (*1923), po aresztowaniu przez gestapo w 1941 w Warszawie, zginął zamordowany w Auschwitz w 1942. **Tadeusz Ko-**

złowski (*01. VII 1904), absolwent Szkoły Mierniczo-Drogowej w Kowlu, druzynowy V Męskiej Drużyny Harcerskiej (MDH) w Kowlu, **komendant Chorągwi Lubelskiej ZHP** (1938-1939), uczestnik: obrony Lublina (1939) a potem ruchu oporu podczas okupacji, po aresztowaniu przez gestapo, został zamordowany w Auschwitz w 1941 (nr obozowy: 14766). **Roman Machniak**, piastował różne funkcje w Hufcu Kowelskim, uczestnik ruchu oporu, aresztowany przez gestapo, został rozstrzelany w Kowlu w 1942. W dniach 28-30 lipca 1941 roku na podstawie list proskrypcyjnych sporządzonych przez nacjonalistów ukraińskich Sonderkommando SS aresztowało w Krzemieńcu około 30 przedstawicieli polskiej inteligencji, wśród których znalazło się 22 pedagogów i pracowników Liceum Krzemienieckiego. Po uwięzieniu torturowali ich w Domu Społecznym. Esesmani i milicja ukraińska rozstrzelali ich pod Górą Krzyżową. Wśród zamordowanych znalazły się, m. in. trzy nauczycielki i harcmistrzyni: mgr **Joanna Kopcińska**, mgr **Helena Paliwodzianka** (*06. V 1894) i mgr **Janina Poniatowska** (*29. X 1906) oraz **Ludomir Łoziński** (*1917), druzynowy II Męskiej Drużyny Harcerskiej w Krzemieńcu (1935-1937). To samo komando SS przy udziale milicji ukraińskiej zamordowało profesorów lwowskich i nauczycieli ze Stanisławowa.

Józef Kwiatkowski (*1907), mgr, komendant Hufca Kowelskiego (1937-1938), uczestnik ruchu oporu, aresztowany przez gestapo został zamordowany we Lwowie w 1942. **Józef Barcikowski**, ppor rezerwy, były harcerz hufca rówieńskiego, ranny w kampanii wrześniowej, w grudniu 1939 uciekł ze Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie przed wywiezieniem do Oflagu i włączył się do ruchu oporu. W pierwszej połowie 1940 zo-

stał aresztowany i rozstrzelany. **Władysław Gan** (*1914), harcerz V Kowelskiej Drużyny Harcerskiej, kapral podchorąży 44 p.p. w Równem, członek ZSL, zginął w partyzantce w 1941. **Zygmunt Biczowski** (*1908), zastępowy, oficer artylerii w Kampanii Wrześniowej, za udział w Ruchu Oporu został rozstrzelany przez Niemców w Dubnie w lutym 1942. Również za działalność konspiracyjną zginęli z rąk gestapo byli harcerze Hufca Sarneńskiego: **W. Drozdowski**, **L. Łokkay** i **T. Strzelecki**.

Franciszek Naglik, Komendant Hufca w Kostopolu, aktywny członek AK, został rozstrzelany przez Niemców w Równem w dniu 9 marca 1943. **Maria Zdobnicka** (*1889), harcmistrzyni, nauczycielka Liceum Krzemienieckiego została rozstrzelana w niemieckim więzieniu w Krzemieńcu w lutym 1943. **Jerzy Truszczyński** (*1908), pseudonim „**Onufry**”, członek KEDYW-u, dowódca udanej akcji wysadzenia zbiorników z paliwem na ulicy Gniewkowskiej w Krzemieńcu w dniu 31 lipca 1943, zginął w czasie następnej nieudanej akcji na Arbeitsamt w dniu 26 sierpnia 1943. Członek Komendy Hufca we Włodzimierzu, podharcistrz **Jan Jankowski**, za udział w Ruchu Oporu został przez Niemców rozstrzelany w Warszawie przy ul. Idzikowskiego na Mokotowie w 1944 roku. Za zabicie niemieckiego oficera, drużynowa z Włodzimierza, **Wanda Zienkiewiczówna**, sanitariuszka 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty, została rozstrzelana przez gestapo w 1944 roku.

Jak podają Goszczyński i lubelskie źródła: **Jan Iglatowski** (1902-1939), podharcistrz, wychowanek kursu podharcistrzowskiego w Radłowie, komendant Hufca Kowel (1920-1930), drużynowy VII LDH Żeglarskiej w Lublinie, kierownik PW i WF Komendy Chorągwi, zginął w obronie miasta przed Niemcami w dniu

17 września 1939 dowodząc I Kompanią Harcerskiego Oddziału Obrony. Za uporczywą, odważną walkę z Niemcami, pochowali go oni z honorami wojskowymi. Porucznik **Marian Orliński**, były drużynowy w szkole im Staszica, uformował w Ostrogu Oddział Harcerski jeszcze przed powstaniem AK. W grudniu 1940 istniał już w Ostrogu [późniejszy] Oddział 27 Dywizji AK, w którym Orliński był zastępcą dowódcy. Wchodzące w skład oddziału drużyny bojowe **Anatola Gończaruka** i **Leszka Burzyńskiego** składały się wyłącznie z harcerzy ostrogskich. Cały oddział liczący 80 osób aż w 75% był harcerskim. Harcerze Ostrogscy skupieni przez Orlińskiego, Gończaruka i Burzyńskiego podejmowali jeszcze przed utworzeniem Oddziału „**Gzymśa**” [„Gzymś” – kryptonim por. **Franciszka Pukackiego**] i 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, akcje dywersyjne w Szepietówce i Sławucie gromadząc broń dla późniejszego oddziału AK. W formacjach AK dorosli harcerze lub byli harcerze spełniali swój obywatelski i żołnierski obowiązek.

Z rąk nacjonalistów ukraińskich (UPA) zginęło wielu bezbronných Polaków, Czechów i Żydów, a także Ukraińców im sprzyjającym. W ich obronie ginęli harcerze, członkowie Ruchu Samoobrony i żołnierze AK. Spełniali oni swój patriotyczny obowiązek w zgodzie z apelem napisanym przez Juliusza Słowackiego, jednego z największych poetów polskich:

*„Lecz Zaklinam –
Niech Żywi nie Tracą Nadziei
I przed Narodem
Niosą Oświaty Kaganiec;
A kiedy Trzeba,
Na Śmierć idą po Kolei,
Jak Kamienie przez Boga
Rzucane na Szaniec!”.*

Nacjonałiści ukraińscy mordowali całe rodziny wraz z dziećmi i starszymi



osobami. Odnęli się wyjątkowym, zwyrodniałym okrucieństwem nie tylko w mordowaniu żywych ale także w bezczeszczeniu zwłok zabitych ludzi. Wiele drastycznych opisów zachowało się w relacjach świadków ich zbrodni zapisanych przez Władysława i Ewę Siemaszków („Ludobójstwo...”, op. cytowany). Jak podaje Goszczyński: **Marian Orliński**, odznaczony Krzyżem Walecznych zginął w walkach z Ukraińcami pod Młynowem. Pod Twerdym zginęli harcerze ostrogscy: **Jerzy Szulc**, **Kazimierz Waśkowski**, **Szymański** i **Leszek Burzyński**, odznaczony Krzyżem Walecznych.

W materiałach zebranych i przekazanych do Ossolineum przez mojego stryjka Władysława Klisowskiego znajdują się także relacje wielu innych, wieloletnich działaczy harcerstwa na Wołyniu. Zawierają one także dane dotyczące losów druhen i druhow z okresu wojny i po wojnie. Na ich podstawie uzupełniłem dane o nowe nazwiska ze środowisk, m. in.: dubieńskiego, kostopolskiego, kowelskiego, krzemienieckiego, ostrogskiego, rówieńskiego i włodzińskiego. **Hanka Wierzbička**, zastępowa I Żeńskiej Drużyny Harcerskiej w Kowlu, została zamor-

Sztandar Hufca Wołyńskiego

Fot. Krzysztof Gargas

dowana przez bandę ukraińską w 1940. W tym samym roku zginęły wraz z dziećmi drużny z tej samej drużyny: **Zofia i Irena Noskowskie**. Z rąk nacjonalistów ukraińskich zginęła drużna **Maria Walasek-Rychlińska**, nauczycielka na wsi w powiecie dubieńskim, wraz z mężem, kierownikiem szkoły i z dzieckiem. Druh **Tadeusz Rudnicki**, działający do 1939 w Dubnie, zginął zamordowany przez bandy UPA w 1943 we Lwowie. W tym samym roku nacjonałiści ukraińscy zamordowali drużną **Halinę Chojniakówną** (*1926), harcerkę II Żeńskiej Drużyny w Krzemieńcu oraz **Zofię Woszczytynską-Sierżycką** (*15. V 1906), przyboczną hufcowej i drużynową (1923-1926), wraz z mężem, dziećmi i rodzicami.

(cdn)

Ryszard Mieczysław Klisowski



Literatura - Λιρεπατυρα

PANTOFELKI

Kowel, 14 stycznia 1944 roku

Przyszliśmy z Mamą do tego miasta tuż po nalocie samolotów sowieckich, trwał jeszcze ostrzał artyleryjski. Ulice zawalone kawałami murów, pełne szkła, desek i zupełnie puste. Co chwila chowamy się do bram, w których wiszą, skrzypiące na zawiasach, pootwierane drzwi. Chcemy się dostać na dworzec kolejowy. W chwili, gdy mamy już przejść na drugą stronę ulicy, słyszymy jakiś przeraźliwy świst. Mama chwytą mnie za rękę i ciągnie pod ścianę najbliższej kamienicy. Ułamek sekundy później, o parę domów dalej, rozerwał się pocisk. Zrobiło się szaro-żółto, zaczęły latać jakieś resztki desek, blach. Przerażone, uciekamy wzdłuż ściany budynku. Biegnę pierwsza, Mama za mną. W niewielkiej odległości przed nami, zobaczyłam ogromną wyrwę w ścianie. Wchodzimy przez nią do środka. Znalazłyśmy się w dużej sali. Na ścianach wisiały, śmiesznie przekrzywione, resztki ram porozbijanych luster. Na podłodze lśniły kryształki rozbitego szkła. Pod ścianami i na środku sali wały się powywracane foteliki z długimi oparciami na nogi. Porozrywane pudełka po butach i z butami leżały na podłodze. Był to sklep „Bata”. Boże! Ile tam było różnych butów! I jakie! Zapomniałam, że jest wojna, że powinnam się gdzieś schować. Zaczęłam biegać po tym sklepie zupełnie nieprzytomna. Brałam do rąk, całkiem bezkarnie, coraz to inny bucik, oglądałam i zostawiałam. Nie wiedziałam, co robię.

W czasie tej, dziwnej zabawy, pod przewróconym fotelem, zobaczyłam leżący pantofel. Był prześliczny. Z brązowego zamszu, na francuskim obcasie. Przy sa-

mym nosku czarna, zamszowa kokardka z maleńką, błyszczącą kropelką w środku. Podniosłam go oniemiała z zachwytu. Stałam i wpatrywałam się w to maleńkie cudencko. Wyrwał mnie z tego stanu męski, spokojny głos. Przede mną stał jakiś mężczyzna, obsypany kurzem, w czarnym ubraniu. Był to pracownik tego sklepu. W rękę miał małe, ciepłe kamaszki. „*Weź te*” powiedział. Spojrzałam na niego, nie bardzo wiedząc, o co chodzi. „*Weź te*” powtórzył, „*ty jesteś prawie bosy*”. Rzeczywiście, na moich nogach, owiązanych szmatami, ledwo się trzymały stare, jeszcze z przed wojny, śniegowce. Nastraszyłam się. Pomyślałam, że chce mi zabrać ten piękny, znaleziony pantofelek. Przycisnęłam go do siebie mocno. Za nic bym go nie oddała! Za żadne inne! On uśmiechnął się. Powiedział, że nie muszę go oddawać, ale żebym wzięła i te, które mi daje. Nie chciałam tych innych, chciałam tylko ten jeden mieć. Zrozumiał. Zaczął szukać ze mną drugiego pantofelka. Poruszał się jakby nie było tego rumowiska, jakby nie było wojny. Znalazł. Podał mi go tak jakoś elegancko. Szybko zsunęłam z nóg swoje wspomnienie po śniegowcach i włożyłam te śliczne, pierwsze w życiu, dorosłe pantofelki. Swoje zostawiłam wraz z dzieciństwem, pod przewróconym fotelem sklepu „Bata”.

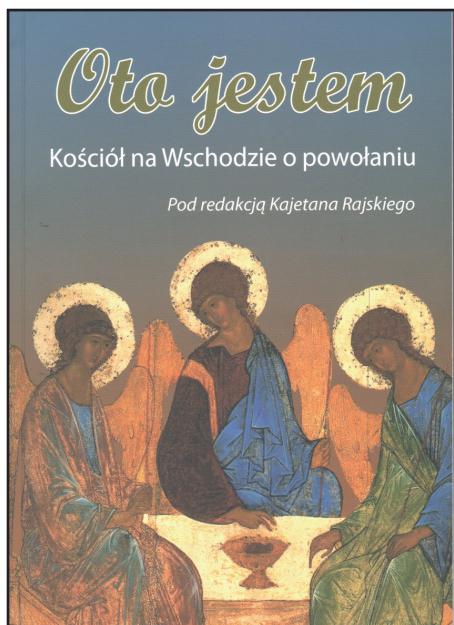
Ucieszona i dumna z nowych, pierwszych dorosłych butów, pokazałam je Mamie. Mama popatrzyła i powiedziała, że są bardzo ładne, ale o jeden numer za duże!

Aldona Perkowicz-Barbacka



Świadectwo - Свідчення

PANIE TY ZNAŁEŚ MNIE, A JEDNAK WYBRAŁEŚ, WEŻ MNIE TAKĄ, JAKĄ JESTEM, A UCZYŃ MNIE TAKĄ, JAKĄ TY CHCESZ MNIE MIEĆ



Nazywam się Bożena Nawrocka. W Zgromadzeniu Sióstr Opatrzności Bożej, do którego należę, otrzymałam imię s. Mateusza. Śluby wieczyste złożyłam 31 sierpnia 1989 roku. Od marca 1992 r. rozpoczęłam swoją posługę na wschodnich terenach Polski, zaczynając od Lwowa przez Ostróg do Równego, gdzie przebywam do dziś.

Pochodzę z małej miejscowości Huta Dąbrowa, położonej na Podlasiu. Chodząc do szkoły czasem wstępowałam

do świątyni parafialnej na krótką modlitwę. Na pytanie, kim będę w życiu, mówiłam rozmówcom, że nie wiem. Do siódmej klasy Szkoły Podstawowej wszystko było proste i zwyczajne. I nagle jednego dnia podczas lekcji religii, wszystko zaczęło być inne. Nie wiem, jak to się stało, ale kiedy w niedzielę po tej katechezie poszłam na Mszę św., patrzyłam na ludzi innymi oczyma. Widziałam ich rozmodlenie, zaśłuchanie w słowo Boże. Tego dnia słowa kapłana przemawiały do głębi mego serca i czułam, że Pan Bóg dokonuje w moim życiu i sercu wielkich rzeczy. Zapragnęłam być jak najbliżej Jezusa, żyć w Jego bliskości i przyjaźni. W tym twórczym niepokoju dostrzegam dziś zamysł Boga, który umiłował mnie, zanim jeszcze miałam tego świadomość.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej zaczęłam naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Żelechowie (12 km od domu rodzinnego) i tam zamieszkałam w miejscowym internacie. W kościele parafialnym często spotykałam siostry ze Zgromadzenia Opatrzności Bożej i po pewnym czasie powiedziałam, że też chciałabym zostać jedną z nich. Po rozmowach i spotkaniach napisałam prośbę o przyjęcie do zgromadzenia, a ponieważ byłam niepełnoletnia, potrzebne było pozwolenie rodziców. Rodzice myślać, że jest to moja jakaś chwilo-wa zachcianka poradzili, abym ukończyła szkołę i kiedy będę miała 18 lat, sama

zdecyduję, co dalej zrobić. Dzisiaj dziękuję Panu Bogu, że właśnie tak pokierował moim życiem, bo przez ten czas spotkałam wielu wspaniałych ludzi. Wśród nich były też przyszłe siostry zakonne. Czekając na pełnoletniość modliłam się o wypełnienie woli Bożej.

Chociaż byłam osobą młodą, stan mojego zdrowia nie był najlepszy, dlatego, gdy kończyłam szkołę średnią, nie byłam pewna, czy będę mogła być w zgromadzeniu zakonnym. Przekonana, że Pan Bóg wie najlepiej, co ze mną uczynić, wszystko złożyłam w dłonie Boskiej Opatrzności. Rozpoczęłam naukę w studium policealnym, wciąż jednak czułam, że to nie jest moje miejsce. Kiedy więc otrzymałam wiadomość o przyjęciu mnie do zgromadzenia, od razu zostawiłam naukę i w dzień Matki Bożej Ostrobramskiej, 16 listopada 1981 r., zapukałam do furty klasztornej Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bożej w Przemysłu. Byłam pewna, że taka jest wola Boża. *„Panie Ty znalazłaś mnie, a jednak wybrałaś, weź mnie taką, jaką jestem, a uczyn mnie taką, jaką Ty chcesz mnie mieć”*. Takie słowa wypisałam na swoim obrazku ze ślubów wieczystych, bo wiedziałam, że Pan mnie powołał i umiłował.

Po pięciu latach pobytu w zgromadzeniu przysłała mi myśl o wyjeździe na misje. Początkowo w moich marzeniach była to Japonia, bo nasze zgromadzenie tam właśnie miało placówkę misyjną. Kiedy przebywałam w Przemysłu, często słyszałam, że niebawem otworzy się granica na Wschód i będzie tam potrzeba wielu księży i wiele sióstr. Zaczynała dojrzywać we mnie myśl, żeby pojechać właśnie tam. Gdy czekano na chętnych do wyjazdu, zgłosiłam swoją kandydaturę. I tak w marcu 1992 r. z pierwszą grupą sióstr pojechałam do Lwowa. Cóż to była za radość być w miejscu, gdzie powstało nasze zgro-



S. Mateusza Bożena Nawrocka SDP

Fot. Irena Borowiec

madzenie. Lwów to kolebka naszego zgromadzenia, tu od 1857 r. do wybuchu wojny w 1939 r. siostry prowadziły domy pomocy dla dziewcząt uwikłanych w prostytucję i sierot. Mogłam więc chodzić ulicami, po których chodziła nasza Matka Założycielka Antonina Mirska. Tu tak bardzo bliskie były mi jej słowa, by *„niczego nie stawiać ponad miłość Chrystusa”*.

Przed wyjazdem na Wschód przeszłam krótki kurs języka ukraińskiego. Gdy przyjechałyśmy na miejsce do Lwowa, okazało się, że nawet językiem polskim można się tu swobodnie posługiwać. Lwów był miejscem przejściowym, bo od sierpnia tego samego roku rozpoczęłyśmy pracę w Ostrogu i Równem na Wołyniu. Miejscem mojego przeznaczenia było Równe, 250-tysięczne miasto ze swoją bogatą i trudną historią. Tu język polski już nie wystarczał.

Historia Równego sięga 1282 roku. W 1548 r. została tu zbudowana świątynia katolicka, która była pierwszą chrześcijańską świątynią w Równem. Miasto, a z nim i religijne budowle, było wielokrotnie niszczone tatarskimi najazdami i, jak piszą kronikarze – „*czego nie dokonali Tatarzy, dokonali kolejni właściciele*”. Mimo tych trudności w końcu XIX w. podjęto tu budowę monumentalnego kościoła pw. Narodzenia Matki Bożej i św. Antoniego.

Przed rewolucją bolszewicką wierni Kościoła katolickiego na Wołyniu należeli do diecezji łucko-żytomierskiej (siedziba w Żytomierzu). Była ona poddana ścisłej kontroli caratu. Po przejściu władzy przez bolszewików, po 1920 r. rozpoczęło się martyrologium Kościoła katolickiego na wschodniej Ukrainie. Wołyń miał szczęście znaleźć się w granicach Rzeczypospolitej, więc jego sytuacja była diametralnie inna niż na terenach „*za kordonem*”. Tutejsi katolicy mieli swobodę w spełnianiu praktyk religijnych i nie było konfliktów z licznie występującymi tu innymi wyznaniem (prawosławie, judaizm, protestantyzm). W 1925 r. powstała nowa diecezja z siedzibą w Łucku, a jej ordynariuszem został ks. bp Adolf Szelażek. I właśnie tutaj na Wołyniu, siostry naszego zgromadzenia w przeszłości ofiarnie służyły Chrystusowi podejmując prace najpierw we Włodzimierzu Wołyńskim, potem w Ołyce, a następnie w Dubnie.

Fala represji w stosunku do Kościoła rzymskokatolickiego na tych terenach zaczęła się od eksterminacji ogromnej części ludności polskiej przez UPA w latach 1943-1944, a następnie po wejściu Armii Czerwonej w 1944 r. Lęk przed złowrogą władzą sowiecką, jej presja na wyjazdy ludności polskiej i księży katolickich na Zachód spowodowały, że na tych terenach wyludniły się liczne niegdyś parafie

Kościola katolickiego. W Równem pozostał o. Serafin Kaszuba – kapucyn, który przemieszczając się obsługiwał wiernych w różnych miejscowościach. W 1958 r. i jego pozbawiono legalnej możliwości sprawowania kultu. Wędrował wówczas po Ukrainie, Syberii i Kazachstanie bywając potajemnie także w Równem i pobliskich miejscowościach. Taka sytuacja ułatwiła władzom zamykanie kościołów, ich burzenie czy adaptację na inne cele. W nielicznie ocalałych kościołach urządzano magazyny, sale kinowe, sale sportowe czy muzea. Życie religijne wiernych zeszło do podziemia. Na Wołyniu ocalało kilkanaście ze 171 kościołów, w tym tylko jeden w Krzemieńcu pozostał czynny. W takiej sytuacji, mimo pewnego lęku i obaw, ludzie zaczęli gromadzić się na modlitwę w prywatnych mieszkaniach. Jedni drugich informowali, gdy miał przyjechać kapłan i zasłaniając okna kocami trwali na modlitwie.

Ożywienie religijne na tych terenach nastąpiło dopiero po „pierestrojce” Gorbaczowa, a zwłaszcza po uzyskaniu przez Ukrainę niezależności w 1991 r. Wówczas na Wołyń zaczęli przyjeżdżać kapłani z Polski. W grudniu 1990 r. przyjechał tu obecny proboszcz ks. Władysław Czajka, który objął parafię w Ostrogu, a w styczniu 1991 r. parafię w Równem. Rozpoczęła się zwyczajna posługa duszpasterska. Trzeba było poszukiwać katolików na miejscu i w innych miejscowościach, tj. Korcu, Zdołbunowie, Kostopolu, Sarnach, Dąbrowicy. „*Od początku zadziwiali mnie swoją gorliwością, gdy latem 1991 r. tygodniami od rana do wieczora stali przed drzwiami zamkniętego kościoła Narodzenia NMP i św. Antoniego w Równem, zamienionego na budynek filharmonii*” – wspomina ks. proboszcz Władysław. Swoje istnienie zaznaczali wyteżoną modlitwą, postem i cho-

dzeniem po urzędach. W przeddzień stanu wyjątkowego w Związku Radzieckim tu-tejsi katolicy otrzymali obietnicę zwrotu kościoła garnizonowego św. Piotra i Pawła, zamkniętego w 1939 r., a po wojnie podzielonego na piętra i przeznaczonego na salę sportową. Radość z wysłuchanych modlitw i otrzymanego pozwolenia przemieniła się w pracę nad odbudową domu Bożego. Wiele osób latami przychodziło tu codziennie do pracy przy odbudowie świątyni. Ludzie ci byli ziarnem, które powoli zaczęło wydawać dobry plon.

Wraz z materialną budową domu Bożego budowano Kościół w sercach ludzkich. Nie było to łatwe, bo ludzie epoki komunizmu są bardzo uwarunkowani swoją historią. Wystarczy wspomnieć, że dzieci od II klasy przyjmowano do „żowtieniat” (tj. pierwszy stopień wtajemniczenia komunistycznego, pochodzący od nazwy miesiąca październik – żowteń). Kolejnym stopniem był pionier, komsomolec i członek partii – już jako osoba dorosła. Dzieciom od początku stawiano pytania: Czy rodzice wierzą w Boga? Czy modlicie się w domu? Czy obchodzicie święta religijne? Wydaje się, że to takie niewinne pytania, ale ile było w tym podtekstu. Dzieci, jak to dzieci, odpowiadały szczerze i tak zaczynały się problemy dla całych rodzin. Z czasem rodzice bali się cokolwiek mówić o wierze przy dzieciach. Starsi wspominają, że najgorsze było to, iż tak strasznie były traktowane sprawy religii. Jeszcze dzisiaj spotykamy ludzi, którzy przed laty, aby uniknąć prześladowań, zmieniali imiona o polskim brzmieniu na imiona ukraińskie.

Po rocznym pobycie w Równym zachorowałam na zapalenie nerwu słuchowego i znalazłam się w szpitalu. Mogłam pojechać na leczenie do Polski, jednak uznałam, że pozostanie tu da mi możliwość świadczenia o Chrystusie wśród

ludzi nienależących do naszej wspólnoty parafialnej i cieszyłam się, że mogę tam być. Dowiedziałam się, że jedna z naszych parafianek leży na oddziale kardiologii, poszłam więc ją odwiedzić. Gdy mnie zobaczyła, powiedziała: „*Chodźmy gdzieś w kącik, bo jak się dowiedzą, że jestem Polką, to jeszcze nie zechcą mnie leczyć*”. Tak mocno w ludziach starszych zakorzeniony był strach i lęk przed represjami. Dzisiaj ludzi tak myślących jest coraz mniej.

Pewnego dnia stałam na przystanku autobusowym, gdy podszedł do mnie mężczyzna z pytaniem: „*Co z tego siostra zrobiła, że siostrę tutaj przysłali?*”. Kiedy powiedziałam, że jestem z własnej woli, stwierdził, że to niemożliwe, aby ktoś chciał sam dobrowolnie tutaj przyjechać.

Od samego początku pobytu na Ukrainie moim zadaniem była katechizacja. Kiedy wracam myślą do okresu sprzed 1993 r., mam przed oczyma obraz jednej czy drugiej babci przychodzącej do kościoła ze swymi wnukami. Trudno było o pokolenie średnie. Nawet na przygotowaniach przed Pierwszą Komunią Świętą nie było dzieci z ich rodzicami. Po latach z radością patrzę, jak ludzie młodzi i w średnim wieku przystępują do sakramentów św., a dzieci na spotkania w większości przychodzą z rodzicami. Pamiętam też Asię przyprawioną do kościoła przez swoje koleżanki. Zaczęła uczęszczać na katechezę i oczywiście brała udział w niedzielnej Eucharystii. Kiedyś spotkałam się z jej starszą siostrą, która powiedziała: „*Ja Asi nie rozumiem. Co ona ma z tego przychodzenia do kościoła? Przecież to jest marnowanie cennego czasu*”. Po dwóch latach Pan Bóg sprawił, że siostra Asi sama została katoliczką i razem z Asią, a teraz i ich mamą, należą do naszej wspólnoty parafialnej.

Moim wielkim pragnieniem było to, aby jak najwięcej ludzi przychodziło do naszego kościoła. Trzeba było wielkiej czujności, by nie przegapić żadnej nowej osoby. Często zdarzało się, że dziewczyna czy chłopak, katoliki, przyprowadzali ze sobą koleżanki, kolegów nie-katolików, którzy przychodzili, jak uczniowie z Ewangelii i już tutaj zostawali. Teraz są przykładnymi katolikami mającymi swoje rodziny i dają piękne świadectwo chrześcijańskiego życia. Z podziwem patrzę na młodych katechetów ze wspólnoty neokatechumenalnej, którzy gorliwie głoszą katechezy. Przez to przychodzą do kościoła nowi ludzie i parafia się rozrasta. Ludzie potrzebują nie tylko słowa, ale świadków; bardziej świadków niż nauczycieli. Takim wielkim świadectwem była rodzina oczekująca dziecka. Gdy młoda mama dowiedziała się, że jej dziecko nie ma kości czaszki, wszyscy bliscy z jej otoczenia, a nawet lekarze proponowali aborcję. Po co tyle czasu się męczyć, po co obniżać nam statystyki śmiertelności dzieci po urodzeniu – padały opinie. Ona jednak z mężem trwali, umacniani modlitwami całej parafii. Katia urodziła Marcelinę, która była ochrzczona przez ojca dziecka obecnego przy porodzie. Dziecko wkrótce zmarło, ale rodzice są szczęśliwi, że mogli dać dziecku wszystko, a swoją postawą dali świadectwo wiary wobec wielu ludzi, także wobec lekarzy.

Wielu naszych parafian coraz bardziej troszczy się o wzrost swojej wiary. Przychodzą na katechezy, na rekolekcje, na słuchanie słowa Bożego.

Będąc tu zobaczyłam także, że nawet śmierć może rodić owoce. Wiara poprzednich pokoleń owocuje po śmierci w nawróceniu dzieci. Często po pogrzebie swoich rodziców przychodziły dzieci mówiąc, że mój ojciec czy matka byli katolikami i oni też byli ochrzczeni w Koście-

le, a teraz chcieliby tutaj przychodzić, zajmując wolne miejsce po rodzicu.

Wiele osób „przechodzi” przez parafię. Najczęściej są to ci, którzy odkrywali, że ktoś z ich rodziny: rodzice albo dziadkowie są, czy byli katolikami. Pragną iść drogą wiary śladami swoich przodków. Również coraz więcej jest takich, którzy nie mając korzeni katolickich, byli pociągnięci przykładem wiary innych. Niektórych przyprowadził napis umieszczony na frontonie świątyni: „*Postaw Boga na pierwsze miejsce w swoim życiu*”. Jest potrzeba umacniania tej wiary, bo wcześniej czy później ludzie zaczynają doświadczać trudności. Przynależność do małych grup, wspólnot parafialnych pomaga im wytrwać. W naszej parafii mamy wspólnoty neokatechumenalne, Legion Maryi, Bractwo Szkaplerza, Kółka Różańcowe, Oazę Rodzin, chóry parafialne: dorosłych, młodzieżowy i dziecięce, Towarzystwo Pedagogiczne „Klawis”, Dziecięce Studium Twórczości, Rodzinę Kolpinga, harcerstwo. Każdy więc może odnaleźć coś dla siebie, by móc się rozwijać, dojrzewać i wzrastać.

W Równem katolicy są mniejszością. Żyjemy wśród Kościoła prawosławnego patriarchatu kijowskiego, moskiewskiego i autokefalicznego oraz wielu wyznań protestanckich i różnych sekt. Tutaj wiadać, jak potrzebny jest ekumenizm, gdy rodziny są wyznaniowo pomieszane. Jest potrzeba zrozumienia i tolerancji. Każdego roku przedstawiciele różnych wyznań zbierają się na wspólną modlitwę w naszej świątyni – i to jest piękne.

Założycielka naszego Zgromadzenia Matka Antonina Mirska lubiła powtarzać: „*Nic ponad miłość Chrystusa*”. Ja ludziom młodym chciałabym powiedzieć: „*Otwórzcie serca dla tej Miłości*”. Miłość Chrystusa rozpała w sercu człowieka wielkie pragnienia. W moim przypad-



Starania o zwrot kościoła parafialnego w Równem. Procesja z kościoła garnizonowego do kościoła parafialnego, lipiec 1991 r. Fot. Antoni Woyciechowski

ku było to pragnienie wyjazdu na misje, by ewangelizować na Ukrainie. Służenie tym ludziom, szukającym światła, daje mi wiele radości. Ale też zdaję sobie sprawę, że wszyscy oczekują ode mnie świadectwa codziennego życia, a to z kolei pobudza mnie do wytrwałości i umacnia w powołaniu. Kiedy patrzę, jak niektórzy ludzie pokładają nadzieję we wróżbitach, jasnowidzach czy „uzdrowicielach”, wzrasta we mnie pragnienie, by pokazywać im prawdziwą Miłość, która kocha, przebacza, leczy. Dziękuję Bożej Opatrzności, która nieustannie czuwa nade mną i posługuje się mną.

s. Mateusza Bożena Nawrocka SDP

„Oto jestem. Kościół na Wschodzie o powołaniu” red. Kajetan Rajski, Tarnów 2012, s. 74-81.

Siostra Mateusza Bożena Nawrocka ze Zgromadzenia Sióstr Opatrzności Bo-

żej profesję wieczystą złożyła 31 sierpnia 1989 r. Posługuje na Ukrainie od marca 1992 roku.



Kościół pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Równem Fot. Archiwum

Poezja - Поезія

Stefan BARDCZAK

NAD WILIĄ

Z cyklu «Krajobrazy Wołynia»

Bulgot wody szturmuje zamkowy wał –
Międzyrzecz:
cegieł, kamieni – puścizny dziejów – zwał
schronienie nietoperzom i sowom przyrzekł
I wierzyby rycerskie z słoneczną tarczą
Nad łuskami fal zapragnęły się schylić,
monotonnie
w brzeg chybotliwy Wilii
bić dzwonnice
wiekom jak starcom
na skon.
Wilii podaj dłoń
Zbyteńko, Nowomalina i Luczyna rzeko,
ciszy się spowiadaj drzemiącej pod murem
i wiekom
żab w nenufarach rehotliwym chórem.
Pozdrów wierzbowy Bielmaż,
słupy graniczne jak straż,
rozzum się wodospadem w nowomiejskim młynie,
bo niedaleko
W łąkach Ostroga stulisz się z Horyniem,
Wilio, prowincjonalna rzeko.

„Życie Katolickie” nr 42 z 18 października 1936 r., s. 659.

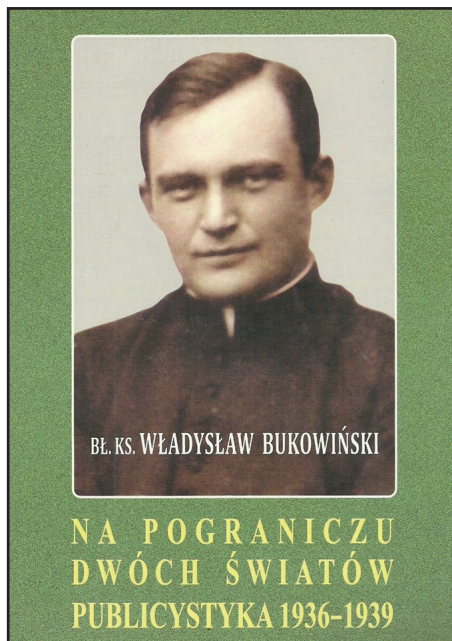
У нас на Волині - У нас на Волині

NA POGRANICZU DWÓCH ŚWIATÓW

W jednym z ostatnich numerów „Życia Katolickiego”, w artykule pod tytułem „Wieści o Tarnorudzie”, zaznajomiliśmy naszych czytelników z tym, co się dzieje w Tarnorudzie po drugiej stronie granicy, po stronie bolszewickiej. Widzi to codziennie i opisuje w korespondencji do krakowskiego „Dzwonu Niedzielnego” administrator parafii Tarnoruda po stronie polskiej, ks. Józef Walczak. Opisuje on, jak bolszewicy stopniowo usuwali z Tarnorudy najpierw księży, potem świecką ludność polską i katolicką, w końcu sam nawet budynek kościelny, przemieniony przez nich w miejsce bezbożnych zaiste zabaw...

Dla nas, mieszkańców kresowego Wołynia, smutne te wieści o Tarnorudzie nie są żadną nadzwyczajną nowością. Zdziwilibyśmy się niepomiernie, gdybyśmy się dowiedzieli, że w Tarnorudzie pod rządami bolszewickimi po dziś dzień jest kościół i ksiądz katolicki. Już dawno zdołaliśmy się wyzbyć wszelkich złudzeń pod tym względem. Zbyt blisko bowiem, zbyt bezpośrednio, sąsiadujemy z państwem czerwonego bezbożniczego caratu. Żyjemy na pograniczu nie tylko dwóch państw. Co więcej, żyjemy na pograniczu dwóch odrębnych światów. Czy dość jasno zdajemy sobie z tego sprawę?

Tak, żyjemy na pograniczu dwóch światów! Na pozór Wołyń polski mało się różni od Wołynia sowieckiego, podobnie jak Polesie polskie mało się różni od Polesia sowieckiego lub województwo Nowogródzkie mało się różni od pozostałej po bolszewickiej stronie Mińszczyzny i Słuczczyzny. Wszystko to są starodawne polskie ziemie kresowe, bez względu na to, po której znalazły się stronie sztucznej granicy, traktatem ryskim ustalonej.



Z pewnością, pomimo tej granicy, ziemie kresowe, po obu jej stronach położone, pod wielu względami wykazują mniej różnic pomiędzy sobą, niż w porównaniu z ziemią Polski środkowej i zachodniej. Pod wielu względami, Wołyń polski jest i pozostanie podobniejszy do Wołynia sowieckiego, niż np. do Poznańskiego i Pomorza. Polesie polskie więcej przypomina Polesie sowieckie, niż Śląsk. Nowogródzka raczej przywiedzie na myśl Mińszczyznę i Słuczczyznę, niż Kraków lub Zakopane.

To wszystko prawda! To wszystko potwierdzi każdy, kto zna ziemie kresowe, czerwonym od nas oddzielone kordonem. A jednak, pomimo to wszystko, granica polsko-sowiecka jest granicą nie tylko



„Tam, u granicy dwóch światów, napis «Sursum corda!» – «Wzniesmy wzwyż serca!» – wzwyż, do Boga!” (Bł. ks. Władysław Bukowiński)

Fot. Serhij Gongalo

dwóch państw. Jest – powtarzamy – granicą dwóch odrębnych światów. Dlaczego? Z jakiego powodu?

Z tego właśnie, jakże bardzo wymownego i przekonującego powodu, który wskazują wieści o Tarnorudzie, przez naczynego podane nam świadka. W Tarnorudzie, podobnie zresztą jak na całych Kresach zakordonowych i na całym obszarze bolszewickiego państwa, wypędza się i więzi księży, wysiedla ludność polską i katolicką, zamyka się, w nocne spelunki zamienia chrześcijańskie świątynie... Na terenie naszych województw wschodnich, podobnie zresztą jak w Polsce całej, powstają nowe parafie, wznoszą się nowe kościoły, nowo wyświęceni kapłani przystępują do pracy wśród wiernych, których nikt z sadyb ojcowskich nie

wysiedla i nikt nie pozbawia wiary po pradziadach odziedziczonej.

Tu leży główna, przepastna różnica pomiędzy ziemiami kresowymi położonymi po obu stronach linii granicznej polsko-sowieckiej. Różnica to przepastna, bo przepaść nieskończona, o znaczeniu nieprzemijającym, wiekuistym, leży pomiędzy wiarą w Boga a bezbożnictwem, pomiędzy czią publicznie Bogu oddawaną w świątyniach w tym celu wybudowanych i poświęconych, a zamykaniem świątyń i zamykaniem dusz ludzkich przed wszystkim co Boże, co święte, co ponad ziemię wzniesione! Wobec tej jednej, nieskończonej wprost różnicy, nikną wszelkie podobieństwa krajobrazowe, narodowościowe, gospodarcze, czy jakiegokolwiek inne, pomiędzy ziemiami kresowymi, oddzielnymi od siebie linią graniczną traktatu ryskiego. Pomimo wszelkich podobieństw zachodzących pomiędzy ziemiami przygranicznymi, polsko-sowiecka granica dzieli dwa światy nic a nic do siebie niepodobne, najzupełniej odmienne i odrębne: świat wiary w Boga i w nieśmiertelną duszę ludzką, od świata przymusowej niewiary w Boga, połączonej z wiarą w zaciśniętą pięść i w bezduszną maszynę.

Na granicy polsko-sowieckiej, ponad linią kolejową Warszawa-Moskwa, pomiędzy stacjami granicznymi Stołpce a Niegorełoje, są ustawione dwie bramy. Na bramie i stojącej po stronie bolszewickiej widnieje napis „*Pozdrowienie robotnikom zachodu!*”. Na bramie stojącej po stronie polskiej jest napis „*Niech żyje Rzeczpospolita Polska!*”. Znany dziennikarz polski, p. Stanisław Mackiewicz z Wilna uważa, że ten napis polski na granicy polsko-sowieckiej mówi zbyt mało. Zamiast napisu „*Niech żyje Rzeczpospolita Polska!*”, wołałby on na granicy widzieć napis „*Tu zaczyna się kraj wolności!*”, bo kończy się kraj najokrutniejszej na świecie



RISU.org.ua

Kościół farny w Ostrogu

Fot. <http://risu.org.ua>

bolszewickiej niewoli. Niech nam wolno będzie stwierdzić, że najwymowniejszym znakiem przepastnej różnicy dwóch światów, położonych po obu stronach granicy polsko-sowieckiej, jest po stronie bolszewickiej zniszczony, zbezczeszczone i w salę zabaw przemieniony kościół w Tarnorudzie, a po stronie polskiej choćby stojący nieopodal granicy piękny stylowy kościół parafialny w Ostrogu nad Horyniem, u wejścia do którego widnieje jakże bardzo znamieny tam, u granicy dwóch światów, napis „*Sursum corda!*” – „*Wnieśmy wzwyż serca!*” – wzwyż, do Boga!

Zdajmyż sobie sprawę z tego, że wiara nasza jest jedynie pewną i niezawodną bronią przeciwko prowadzonej z wielkim nakładem moskiewskich pieniędzy agitacji komunistycznej. Zdajmy sobie sprawę z tego zwłaszcza my, Polacy – katolicy z kresowego naszego Wołynia! Ponad

wszystko inne, wiara nasza katolicka jednoczyć nas ze sobą powinna w braterskiej zgodzie i miłości, tworząc z nas dziś, jak przed wiekami, żywe przedmurze chrześcijaństwa.

Ks. Władysław Bukowiński

„*Życie Katolickie*” nr 32 z 9 sierpnia 1936, s. 497-498.

Bł. ks. Władysław Bukowiński, „*Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936-1939*”, opracowanie i przypisy Maria Kalas i Witold-Yosif Kovaliv, Biały Dunajec – Ostróg 2016, s. 26-29.



Wychowanie - Виховання

BĘDZIEMY MIELI PATRONA

Szkoła Podstawowa w Lubiczu Dolnym koło Torunia będzie nosiła imię bł. ks. Władysława Bukowińskiego. Uroczystość nadania imienia nastąpi w rocznicę beatyfikacji, 11 września 2017 roku.

U początku działań było pragnienie, wyrażone przez jednego z członków zarządu Rady Rodziców, by szkoła miała patrona. Był to rok 2013. W dyskusji padały różne propozycje, m.in. imię zmarłego tragicznie wówczas bpa Chrapka. Wysunięto też postać ks. Bukowińskiego. Latem 2012 w czasie wyprawy na Wołyń zakupiłam w Ostrogu kilka książek: dwa tomy relacji świadków i innych dokumentów „Spotkałem człowieka”, „Do moich przyjaciół” (do tekstów drukowanych zwykle w emigracyjnych i podziemnych wydaniach dołączone listy do rodziny Elżbiety Kamińskiej i Jerzego Węgierskiego oraz wybór myśli z listów do prof. Karola Górskiego z UMK w Toruniu, a także 19 zdjęć), podręcznik „Historia nauczycielką życia” oraz wydane łącznie „Wspomnienia z Kazachstanu” ks. Bukowińskiego oraz „Zapiski z Kazachstanu” o. Serafina Kaszuby. Pamiętam natychmiastowe wrażenie: wracałam do domu ze skarbem... Postaci o. Kaszuby nie znałam wcześniej. Ten drugi Apostoł Kazachstanu zachwyił subtelnością i delikatnością serca, przezystą świętością i obrazowością stylu opisującego przecież tak straszne dzieje. Ponieważ od lat prowadziłam szkolne, a właściwie środowiskowe koło teatralne, zastanawiałam się nad jednym, kogo by wybrać na bohatera szkolnego przedstawienia... Ojciec Kaszuba wydawał mi się bliższy dziecięcej wrażliwości, jednak pozostałam przy tym, który stał się tak przedziwnie ważny w mojej młodości. Patron

wiary i miłości bliźniego, o czym pięknie napisał ks. Wydawca w przedmowie „Do moich przyjaciół” w 2001. Przedstawienia opartego na „dwugłosie” postaci Księdza i świadków nie dałam rady zrealizować, ponieważ zmienił się akurat wówczas skład wiekowy koła – odeszli już starsi i najstarsi, w nowym roku szkolnym tajniki teatru zaczęli zgłębiać znowu „mali”, dla których przygotowany latem zamysł przedstawienia byłby za trudny.

Inny spektakl, oparty na listach ks. Bukowińskiego do przyjaciół pt. „Dom wspólny” do muzyki Bogusława Grabowskiego i Macieja Sikały szkolne koło teatralne pokazało trzy lata później w ramach rodzinnego konkursu wiedzy na temat życia i działalności Księdza. Młodzi aktorzy budują „w powietrzu” dom z kilku długich drewnianych żerdzi, wydobyty na koniec z przestrzeni teatralnej wielką podłużną granatową płachtą nakrywającą całość. Budowanie wspólnoty kościelnej, radość, wysiłek, codzienny trud – wyrażone w konwencji pantomimy, zatopione w saksofonowo-organowych improwizacjach, nawiązujących do dawnej muzyki kościelnej – wobec odczytywanych przez młodych aktorów fragmentów listów, składających się jakby w życiorys bohatera, może w życiorys małej wspólnoty.

9 kwietnia 2015, po roku starań, w Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę „Ks. Władysław Bukowiński (1905-1974). Listy do Prof. Karola Górskiego”. Na otwarciu wystawy obecna była pani dyrektor Danuta Ferens, członkowie zarządu Rady Rodziców i kilkoro uczniów. Tę wystawę, przewiezioną dzięki uprzejmości dyrektora Biblioteki do szkoły w Lu-

biczu, obejrzały wszystkie klasy po kolei, przybyli na jej otwarcie goście wysłuchali prelekcji prof. Wojciecha Polaka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na temat życia Apostoła Kazachstanu. Widok odręcznie pisanych listów, koperty z pieczętami, zdjęcia Księdza, współczesne fotografie Łucka i Kazachstanu zestawione z fragmentami relacji świadków i osobistymi wspomnieniami Błogosławionego – na wyciągnięcie ręki; młodsze klasy miały te eksponaty na wysokości oczu i brody – to był właściwy początek zapoznawania się z postacią kandydata na Patrona. Potem była książeczka „Ks. Władysław Bukowiński”, wstęp i wypisy. Przewodnikiem po postaci stał się w niej przyjaciel Księdza i znawca duchowości w Polsce prof. Górski. Jego wspomnienia zamieszczone w „Tygodniku Powszechnym” w dziesiątą rocznicę śmierci Kapłana z cudowną przejrzystością i prostotą opowiadają dzieje życia i duszy przyjaciela, żeby na koniec dojść do podsumowania: „*Mnie się wydaje, że duchowość jego była bliska Małej Świętej Teresy. Godził się być narzędziem Boga zawsze i wszędzie*”. Poszczególne rozdziały książeczki – takie było moje pragnienie – stawiają jej bohatera w bezpośredniej bliskości dzieci i rodziców – widzimy Księdza oczami świadków, wśród kłopotów, cierpień i ale i radości „dnia codziennego”, w jego intymnych zwierzeniach czynionych niejako bezpośrednio na oczach czytelników.

Proszę wybaczyć tu osobiste westchnienie: nawet nie wiedziałam, że ta książeczka, którą ma każdy uczeń naszej szkoły, tak się przyda! Opieram się na pracy z nią w kolejnych cyklach lekcji na temat Kapłana, który w międzyczasie został wyniesiony na ołtarze. Nie jest to łatwe, bo Lubicz leży na Pomorzu Środkowym, ukochany Wołyń, z podjętą tam przez Księdza, jak bardzo znaczącą, myślą wychowawczą – na dawnych Kresach właśnie, Kazachstan

jeszcze o 4000 km dalej, a poczucie, że „historia nauczycielką życia” nie tylko wśród uczniów, ale i rodziców niemalże zniknęło. Trudno – ale ufam, że to tylko pozorna bariera! – wytłumaczyć ideę jagiellońską, gdy państwo w swoim obrysie i nie tylko przypomina czasy Piastów; nad tym zagadnieniem sam Ksiądz zastanawiał się onegdaj w listach do przyjaciół. A także czasy zniewolenia komunistycznego minęły. Ale nie minęła potrzeba otwarcia serca wobec bliźniego, wrażliwości społecznej wobec ubogich i potrzebujących, potrzeba kształtowania w małym uczniu twórczego i odpowiedzialnego obywatela. Mądrego umiejętnością dostrzegania we wszelkich wymiarach swojego życia spraw najważniejszych, spraw wiary i zobowiązującej do twórczego wysiłku miłości. Nie zginęły ideały jagiellońskie, bo w nich zawarte są uniwersalne treści składające się na obraz ojczyzny. Nie zginęła przecież tęsknota wiary, i to wiary wypowiedzanej w sposób heroiczny. I tęsknota za takimi relacjami między nauczycielem a uczniem, które, mając źródło w duszy nauczyciela, sięgałyby do „*głębi duszy wychowanka*”. W całej głębi i dziecięcej właśnie prostocie rozumienia tych zagadnień, jakie było udziałem profesorów – nauczycieli ks. Bukowińskiego w Krakowie, bpa Szelażka z Łucka, pochowanego w Toruniu i Teresy od Dzieciątka Jezus, świętej karmelitanki z Lisieux, patronki Wołynia. O te wszystkie treści natury wychowawczej i patriotycznej wzbogaceni zostaliśmy dzięki wydanej właśnie książce zbierającej przedwojenne artykuły Księdza „*Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936-1939*”. „Wołanie z Wołynia”, która znalazła się już w naszej szkolnej bibliotece.

Problemem jest język nauczycielskiego przekazu o Patronie, w całej tej jakby opowieści rozpisanej na wiele lekcji i okoliczności szkolnych; wezwanie do dawania świadectwa swojej wierze, wobec róż-



Jedna z prac konkursowych nt. patrona szkoły w Lubiczu Dolnym

Fot. Archiwum

nicowanego środowiska rodzinnego dzieci. Paweł Lisicki, redaktor tygodnika „Do Rzeczy” na spotkaniu w Toruniu, mówił ostatnio o 40 % uczęszczających w Polsce do kościoła wiernych. A przecież nasza szkoła nie jest wyznaniowa, tylko całkiem zwyczajna: nie za duża, wiejska, a właściwie podmiejska szkoła. Ale przecież katolicyzm jest uniwersalny, wyraża w sposób poniekąd przezroczysty wszystkie wymiary życia. Pisze o tym Ksiądz w swoich artykułach. Myślę, że rzecz musi się jakoś tłumaczyć sama przez się, i dlatego – chyba tak wiele osób czuje – tak wysokie wymagania wobec nas samych, szkolnej społeczności... Ks. Bukowiński wołał o świętość i zrealizował ją, jakże wysoko, w ciągu swojego życia. Stał się wzorem i patronem wychowawcy. Jest jak ziarno rzucone w glebę. To, „nieprzewidziane” wcześniej, ale bardzo mocne, jak odczuwam, wezwanie dla nas, tym bardziej wymagające wysiłku, że brzmi niejako w ciszy zlaicyzowanego, jak by to ujął chyba sam Ksiądz, języka pedagogiki współczesnej. Sama tu wiele się uczę, pomaga mi w tym język naszego szkolnego teatru, który przez te ostatnie dwadzieścia lat jakoś się ukształtował. Dlatego cieszę się szczególnie z tych naszych lekcji o prostych rzeczach: przyjaź-

ni... ..o miłości... o ufności... o Opatrzności Bożej, umiłowaniu wolności... o I Komunii Św. ... o odwadze u ks. Bukowińskiego. Wspólnie z uczniami staramy się pochylić na nowo nad znaczeniem tych pojęć, „oswoić” je, zobaczyć, jak żył nimi Błogosławiony. Dobrze móc tu sięgnąć do naszych „materiałów źródłowych”.

Prace nad nadaniem imienia toczą się wspólnym wysiłkiem dyrekcji, nauczycieli i uczniów. Był już pierwszy konkurs plastyczny, dwa cykle lekcji, konkurs rodzinny z wiedzy o Błogosławionym, pogadanki na godzinach wychowawczych, rozmowy z rodzicami, stała obecność ks. Bukowińskiego na gazetkach szkolnych. Trwa konkurs literacki, rozstrzygnięto konkurs na logo i uczniowski projekt sztandaru. Za dwa tygodnie, w ramach Drzwi Otwartej biblioteka szkolna wyłoży przed gośćmi wydawnictwa i czasopisma poświęcone kandydatowi na patrona. Ks. Proboszcz naszego kościoła parafialnego pw. św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Lubiczu Dolnym, Stanisław Jarząbek-Machnij odprawił Msze św. zamówione przez środowisko szkolne w dwie kolejne rocznice śmierci Kapłana. W czasie najbliższych szkolnych i parafialnych rekolekcji zostaną wprowadzone do kościoła relikwie Błogosławionego.

Jeden z obrazków konkursowych podobna mi się szczególnie. Widnieje na nim nasz żółty budynek szkolny, a nad nim, na tle niebieskiego nieba, unosi się postać Księdza w rozpostartej, jakby utkanej z kolorowych nitczek szacie. Z narożnego okna wychodzi dymek: „Szkoła Podstawowa nr 1 w Lubiczu Dolnym”.

Maria Kalas



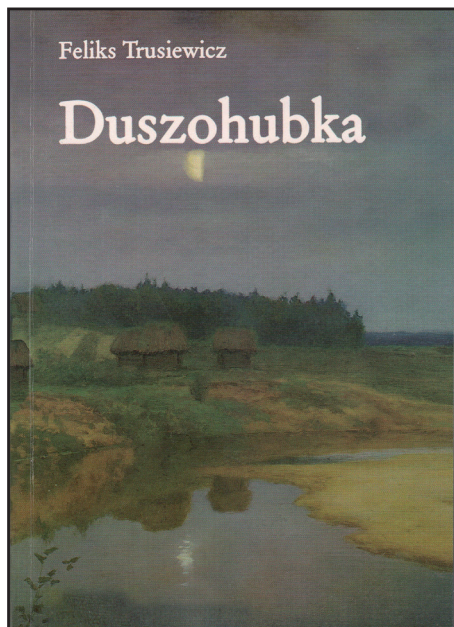
Literatura - Literepatypa

PRYZGODA MYŚLIWSKA W ZIMOWEJ SCENERII

Pewnego poranka Mateusz z synem załadowali na sanie trochę siana i wyruszyli do lasu. Wzięli też strzelbę z zamiarem zapolowania na dzika. Był to okres, kiedy można było polować na koziołka, ale ze względu na ciężki los saren w czasie tej srogiej zimy sumienie nie pozwalało dodatkowo ich niepokoić. Inaczej było z dzikami: latem wyrządzały duże szkody, żerując na łąkach prosa, owsa, kukurydzy czy zagonach kartofli. Były więc plagą gospodarstw położonych w pobliżu lasu. Rosnąca populacja tych zwierząt była niewskazana i odstrzał był pożądany.

Jechali leśną drogą zasypaną śniegiem. Było, jak tu mówiono, kopno i konie, brnąc w śniegu, wolno ciągnęły sanie. Stasiak doskonale znał ten las, to tu wypasał bydło. Podziwiał teraz jego zimową krasę. Piękny, sosnowy bór, pełen zimowego uroku szeroko rozciągał się wokół nich, tworząc perspektywę niekończącej się głębi smukłych, strzelistych pni, wychodzących z białego kobierca śniegu, szarych u stóp i stopniowo przechodzących w odcień złocisty wysoko w górze, gdzie na tle nieba zieleniły się ich iglaste korony. Wśród tych niebotycznych drzew były też małe, uginające się pod obfitym nawisem śniegu, niektóre całkiem pokryte śnieżną watą tworzyły fantastyczne, bajkowe figury.

Nieskazitelna biel śnieżnego dywanu znaczone była tylko śladami dzikich zwierząt. Żadnych śladów człowieka, żadnych śladów pojazdów... Jechali przez te białe, jakby dziewicze, nietknięte stopą ludzką, ustronie. Dzień był cichy, bezwietrzny. W porównaniu z porą letnią,



kiedy las rozbrzmiewał licznymi ptasimi głosami, teraz ogarnięty był głęboką ciszą, jakby uspijony pod śnieżną pierzyną. Ten wielki, dostojny spokój i cisza, kryształowo czyste powietrze i ośnieżone drzewa, wszystko to poruszyło wrażliwą duszę Staśka, napełniając go zachwytem i podziwem. Czuł się tu jak w jakiejś monumentalnej świątyni, nieskalanej cywilizacją. Widocznie Mateusz też na swój sposób odczuwał to piękno, bo przez pewien czas jechali w milczeniu. Wreszcie pierwszy przemówił ojciec:

– Anu, synu, weźmi tera z dwa obereмки siana i pokładnij uńdzio o, pod tymy sosnamy. I wskazał palcem miejsce, gdzie należy położyć siano. Takie porcje

paszy podrzucali sarnom w dalszej swojej drodze. W pewnym momencie spostrzegli krwawą plamę na śniegu i ślady wilczych łap. Tu wilki rozszarpały sarnę. Wstrząśnięty tym widokiem Stasiék myślał: „*O ile straszniejsza jest taka dzika śmierć od tej, jaką zadaje myśliwy?*”...

W czasie dalszej jazdy gromada saren w fantastycznych długich susach przecięła im drogę i niezbyt daleko się zatrzymała. Spłoszone zwierzęta odwróciły głowy i jakby zdziwione patrzyły na konie i jadące sanie. Były w zasięgu strzału, ale żadnemu nie przyszło na myśl, by do nich strzelać. Mężczyźni patrzyli na nie z ciekawością i starali się ich nie płoszyć.

Powoli zbliżali się do matecznika dziaków, które zwykle gnieździły się w bardzo gęstym, trudno dostępnym lesie. W tym wypadku był to młody gaj świerkowy. Korony świerków sięgają ziemi szeroko rozpostartymi, gęstymi gałęziami. Pod nimi nie ma śniegu i jest cieplej. Dzikie upatrzyły sobie to miejsce na legowisko. W dzień ukryte pod świerkami spały i dopiero wieczorem wychodziły na żer.

Mateusz stanął na czatach za zagajnikiem, a Stasiék został przed nim i po pewnym czasie rozpoczął nagonkę. Utrudniała mu to gruba warstwa śniegu, ale jako że był silny, radził sobie nieźle. Dużymi krokami brnął w śniegu i kijem uderzał po gałęziach drzew. Towarzyszyły temu głucho uderzenia kija i pył spadającego z gałęzi śniegu. To wystarczyło, aby wypłoszyć te czujne zwierzęta. Nie było obawy, że dzik mógł zaatakować. Dzikie nie są agresywne do człowieka i tylko kiedy nie mogą uciekać, się bronią. Maciory, gdy mają prosięta, mogą atakować w ich obronie. No ale w zimie macior z prosiętami nie było, więc Stasiék nie miał żadnej obawy. Z trudem, ale skutecznie pokonywał przestrzeń, waląc kijem na prawo i lewo. Wreszcie usłyszał strzał. Teraz już prosto szedł w jego kierunku. Dalsze

płoszenie zwierząt było zbyt skuteczne, gdyż strzał wypłoszył je wszystkie z całego zagajnika. Mateusz czekał na syna. Około pięćdziesięciu metrów od niego w śniegu leżał dzik. Celnie trafiony zdołał jeszcze ująć kawałek, ale krwawił obficie i wyčerpany padł w puszystą pierzynę. Myśliwi uważnie szli jego śladem. Duże plamy krwi mogły świadczyć, że zwierzę już nie żyje. Bywa jednak, że osłabiony dzik padał, ale miał jeszcze na tyle siły, ażeby w swojej obronie zaatakować człowieka. Tym razem zwierzę leżało bez ruchu. Mateusz trącił go lufą. Dzik nie reagował. Schylił się i pomacał jego bok.

– Niczego sobie warchlaczek, będzie chiba dwa z połowo puda. Idzi, Staśku, po koni.

Dzik był młody, toteż bez dużego wysiłku wrzucili go na sanie. Z myśliwską zdobyczą zadowoleni wracali do domu.

Feliks Trusiewicz

Jest to fragment powieści pt. „*Duszohubka*”. Piersze wydanie: Wrocław 2004. Jedno z kolejnych: Biały Dunajec – Ostrów 2016.



Henryk Weysenhoff, „Poleskie błota”



Написали до нас - Написали до нас

TAK ZWYCZAJNIE, Z POTRZEBY SERCA

Z głębokim wzruszeniem wzięłam do ręki przesłane przez Redakcję Księdza Publicystyka 1936-1939” Bł. Ks. Władysława Bukowińskiego i kolejny numer 6 (listopad-grudzień 2016) – „Wołanie z Wołynia”.

Publicystyka z tych lat pozwoliła mi zrozumieć dlaczego moi Rodzice – ludzie głęboko wierzący, chodzili do Katedry na kazania Ks. Bukowińskiego?.. Bo mieli dwie córki, które chcieli wychować jak najlepiej w wierze katolickiej i „*aby każde dziecko miało szacunek dla ludzi uboższych od siebie...*”. Szczególnie wzruszył mnie fragment „O Tereskach” w Łucku zamieszczony w „Życiu Katolickim” nr 19 z 8 maja 1938 r., a ja właśnie 1 września 1938 roku rozpoczęłam naukę w pierwszej klasie szkoły nr 4 na Krasnem w Łucku. Kiedy po ukończeniu 1 klasy w czerwcu pojechałam na cudowne wakacje do Klewania z moimi Rodzicami i małą siostrzyczką Krysią (piszę o tym w moich przesłanych wspomnieniach!). Ks. Wł. Bukowiński został proboszczem w Katedrze w Łucku, a ja drugi rok nauki po wybuchu II wojny światowej rozpoczęłam w języku ukraińskim, którego nie znałam.

Pamiętam, że któregoś dnia po lekcjach mama poszła ze mną do Katedry, aby zapytać Ks. Proboszcza, czy wobec naszej niepewnej sytuacji (tato był leśnikiem), a były już wywózki Polaków na daleką północ), będę mogła wcześniej przyjąć Pierwszą Komunię Świętą? Do Katedry chodziłyśmy dwa razy. Za pierwszym razem siostra zakonna powiedziała, że w tych sprawach decyduje Ks. Pro-

boszcz, ale nie jest w tej chwili obecny. Za drugim razem Ks. Proboszcz poszedł z nami do Katedry, usiadł w konfesjonale, mamusi wskazał krzesło, a ja stanęłam obok mamy. Po rozmowie z mamą zapytał: „*powiedz mi dziecko jak się modlisz?*”. Powiedziałam „Ojciec nasz...”, „Zdrowaś Maryjo” i „Aniele Boży”... Z „Wierzę” było już gorzej... I wtedy Ks. Bukowiński przemówił do mnie tak serdecznie, że „*razem z dziećmi z mojej klasy przystąpię do Sakramentu Pokuty i Pierwszej Komunii Świętej*”, a potem tak pięknie powiedział o „Tereskach”, że potem będę mogła należeć do Kółka „Teresek”, będę mówiła wierszyki i co miesiąc będę mogła przystąpić do Komunii Św. z wszystkimi „Tereskami”, a w czasie wakacji każda „Teresa” osobno, i że już będę dobrze czytała, więc będę mogła samodzielnie czytać „*Płatki Róż św. Teresy*”...

Los jednak chciał inaczej. Rodzice dowiedzieli się, że jesteśmy na liście skazanych na wywózkę 13 kwietnia 1940 roku! Ucieczkę z Wołynia opisałam w moich wspomnieniach z lat 1938, 1939 i 1940 i fragmenty tych wspomnień wraz z opinią Pani Prezes Związku Sybiraków w Krakowie Aleksandry Szemioth przesłałam 10 października 2016 roku na adres Ośrodka „Wołanie z Wołynia”.

Z okresu mojego dzieciństwa pamiętam, że moja Mama Bronisława należała do Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia Św. Wincentego à Paulo, odwiedzała osoby starsze, chore, samotne... Tam spotkała Ks. kan. Kazimierza Woźnickiego i Jego mamę – Kazimiłą starszą Panią i stąd znajomość, potem serdeczna przyjaźń...

Moje dalsze wspomnienia dotyczą już Kęt, skąd pochodzą moi Rodzice Adolf i Bronisława. W Kętach w kaplicy św. Jana Kantego przygotowywałam się do przyjęcia Sakramentu Pokuty i Sakramentu Ołtarza. Lekcje religii pamiętam, że prowadziła Pani Aniela, a egzamin zdałam u Ks. Magierskiego. W czerwcu 1941 roku przyjąłem Pierwszą Komunię Świętą, a Sakrament Bierzmowania otrzymałam z rąk Księcia Adama Stefana Sapielhy w roku 1948.

Drugą i trzecią klasę szkoły podstawowej przerobiłam z moją mamusią z zawodu nauczycielką, a klasę czwartą i piątą na tajnych kompletach. We wrześniu 1945 roku zdałam egzamin do gimnazjum w Kętach, a po małej maturze, do liceum typu humanistycznego w Kętach. Do matury przystąpiło 21 osób. Zdało 20 osób. Przez 6 lat nauki moim kolegą był Adam Dyczkowski, późniejszy biskup diecezjalny zielonogórsko-gorzowski, któremu najbardziej przydała się łacina, której uczyliśmy się chętnie dzięki profesorom ze Lwowa i Kęt. Maturę zdałam w maju 1950 roku. Na studia nie dostałam się. W tych czasach nie miałam do tego prawa, bo mój Ojciec był w Armii gen. Andersa!

Skończyłam więc roczny kurs kreślarski (kartografia i miernictwo) w Krakowie i od 16 stycznia 1952 roku pracowałam w Biurze Projektów Huty im. Lenina na dokumentacji radzieckiej, więc drugi kurs na terenie biura miałam z języka technicznego rosyjskiego.

I tak moje życie związane jest z Krakowem i tak trwa do dziś. Przez cały czas „*krakowski*” miałam kontakt z ludźmi z Wołynia – wspaniałymi ludźmi! Pamiętam, że kiedy zdawałam egzamin kreślarski w Biurze Projektów u inż. Sarnowicza stojąc przy kulmanie bardzo zdenerwowana, podszedł do mnie inż. Stanisław Pruszyński przedstawił się i powiedział: „*wiem, że Pani pochodzi z Łucka, ja też pochodzę z Wołynia, proszę spokojnie rysować*”... Egzamin zdałam!

Dzięki mojemu przyszlemu mężowi Danielowi, pochodzącemu z Podlasia, poznałam inż. Jerzego Gawrońskiego z Sambora, z którym mąż studiował w Szczecinie. Po studiach razem byli skierowani do pracy w Biurze Projektów w Krakowie. Po tem poznałam Jego Żonę Panią Gawrońską, z którą się nadal spotykam. Wspominamy naszych mężów, którzy już odeszli i „*wieczory wołyńskie*” w gościnnym domu Pań-

stwa Stanisława i Anny Pruszyńskich przy ul. Warszawskiej 1/15. Serdecznie pamiętam „ostatki” w ubiegłym już stuleciu! Była kolacja, potem pączki i faworki... Wspominaliśmy Wołyn, śpiewaliśmy „dumki”, a kiedy o 12-ej w nocy opuszczaliśmy mieszkanie wpisując się do „*Księgi gości*” – zobaczyłam wpis Księdza Władysława Bukowińskiego, który w tym czasie był w Polsce:

„*Rozmowy płytkie pozostawiają pustkę, a nieraz i niesmak, / Rozmowy pogłębione mają wartość nieprzemijającą. / Najpiękniejsze są rozmowy natchnione miłością Boga i ludzi. / Ufam, że coś z tego było w naszych rozmowach prowadzonych / W naszym gościnnym domu na szlaku Karaganda – Kraków / Ks. Władysław Bukowiński / 9. 10. 1969*”.

Stanisław Pruszyński był inicjatorem Ruchu Społecznego C†M ku Cywilizacji Miłości (1983).

Do grona wspaniałych ludzi zaliczam wszystkich kolegów Ojca mojego Adolfa, a szczególnie inż. Władysława Skrzypka z którym po ukończeniu studiów – leśnictwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – skierowani byli do pracy na Wołyniu, bo przecież to była Polska od 1919 roku. Kiedy mój Ojciec wrócił do Kraju w 1947 r., i nie mógł znaleźć pracy, inż. Władysław Skrzypek zaproponował mu pracę w swojej firmie w Krakowie, z wynagrodzeniem, które w pełni wystarczyło na utrzymanie naszej rodziny.

Publicystka Bł. Ks. Władysława Bukowińskiego „*Na pograniczu dwóch światów*” była dla mnie inspiracją do napisania tych kilku wspomnień z Łucka, Kęt i Krakowa – tak zwyczajnie, z potrzeby serca. Nie wiem tylko, czy dotrą do Redakcji Księdza Kanonika w Ostrogu i czy doszły poprzednie!?

6 stycznia br. Skończyłam 85 lat. Moje życie zatoczyło już koło, ale urodziłam się w Polsce w Łucku, chrzest św. otrzymałam w Katedrze w Łucku, pierwszą klasę skończyłam w szkole nr 4 na Krasnem w Łucku i te osiem lat szczęśliwego dzieciństwa na Wołyniu pozostaną w mojej pamięci do końca moich dni!

Z wyrazami szacunku

Halina Sobolewska

Kraków, 31 stycznia 2017 r.

Wśród książek - Серед книжок

„NA POGRANICZU DWÓCH ŚWIATÓW”

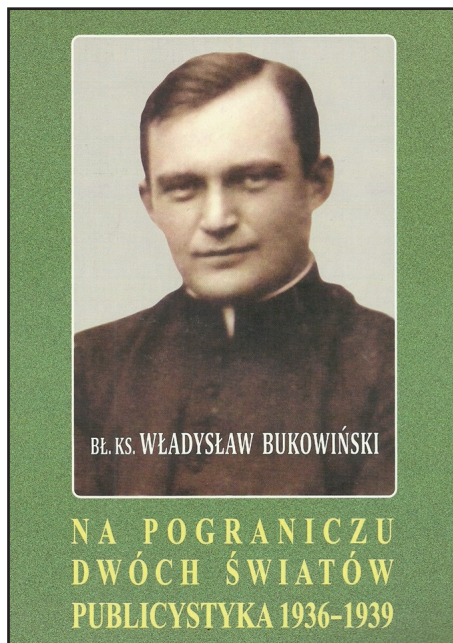
Pod koniec ubiegłego roku ukazała się książka pt. «*Bl. Ks. Władysław Bukowiński. Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936-1939*», wydana przez Wydawnictwo «Wołanie z Wołynia» (seria «Biblioteka Wołania z Wołynia», t. 118).

Pozycja ta zawiera dzieła publicystyczne ks. Władysława Bukowińskiego – polskiego kapłana, proboszcza Łuckiej parafii katedralnej, którego los był związany z Ukrainą, w szczególności z Wołyniem i Podolem, a także z Kazachstanem.

Władysław Bukowiński urodził się 4 stycznia 1905 r. w Berdyczowie. W 1918 r. zmarła jego matka, Jadwiga z d. Scipio del Campo. W 1920 r. ojciec, Cyprian Józef Bukowiński, uciekając przed nadciągającą bolszewią wywiózł rodzinę do Krakowa. To właśnie tutaj ten młody i zdolny człowiek otrzymał wykształcenie prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, równoległe ukończywszy z wyróżnieniem Polską Szkołę Nauk Politycznych. Odkrywszy w sobie powołanie kapłańskie, Władysław wstąpił do Krakowskiego Seminarium Archidiecezjalnego, a w 1936 r. wyjechał do Łucka, na Kresy, gdzie zamierzał swoje życie poświęcić służbie Bogu i ludziom.

W Łucku młody neoprezbiter zanurzył się w wir pracy, oprócz posługi kapłańskiej wykładając w miejscowym seminarium i szkołach, sprawując stanowisko redaktora dwóch czasopism katolickich oraz prowadząc działalność publiczną.

Los mieszkańców Wołynia, w tym również i Władysława Bukowińskiego, zmienił się gwałtownie wraz z początkiem II Wojny Światowej i okupacją sowiecką. 17



września 1939 r. biskup Łucki Adolf Piotr Szelażek mianował ks. Władysława proboszczem parafii katedralnej w Łucku. W sierpniu 1940 r. Bukowiński po raz pierwszy został aresztowany. Prawie rok spędził w łuckim więzieniu. 23 czerwca 1941 r., tuż po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, więźniowie zostali wyprowadzeni na egzekucję na więzienne podwórze. Jednak Opatrzność Boża zrządziła inaczej i Władysław Bukowiński ocalał.

Po kilkuletniej okupacji niemieckiej wrócili sowieci. Drugi areszt miał miejsce na początku 1945 roku. Po półtorarocznym uwięzieniu i śledztwie zapadł wyrok:

Opłata pocztowa uliszczona ryczałtem.
 ROK VIII. Łuck, 21 listopada 1937 r. Nr. 47

ŻYCIE KATOLICKIE

PISMO POPULARNE TYGODNIOWE

Adres Redakcji i Administracji: Łuck, Dominikańska 40. Konto P. K. O. Nr. 81.600. Cena numeru pojedynczego 10 gr.

SPRAWIEDLIWOŚĆ CZY MIŁOSIĘRDLIWOŚĆ?

dziesięć lat łagrów. Karę odbywał ks. Władysław najpierw w Czelabińsku, a potem – w Kazachstanie, gdzie został po uwolnieniu w 1954 r., aby posługiwać wśród Polaków, Niemców, Ukraińców i Litwinów zesłanych tu przez reżim komunistyczny. W 1955 r. otrzymał propozycję wyjazdu do Polski, lecz z niej nie skorzystał, nie chcąc zostawiać na pastwę losu powierzonej mu owczarni. W 1958 r. – czekał go kolejny areszt i trzyletni wyrok.

Niez mordowana praca, wyjazdy misyjne do katolików znajdujących się w Uzbekistanie, Tadżykistanie i na Syberii silnie nadwyrężyły zdrowie ks. Władysława Bukowińskiego. Nie zważając jednak na przekonywania ze strony przyjaciół i zalecenia lekarzy do ostatniego tchu służył wiernym w Kazachstanie. Zmarł 3 grudnia 1974 r. w Karagandzie. Tam też został pochowany. 11 września 2016 r. Władysław Bukowiński został przez Kościół ogłoszony błogosławionym.

Po przypomnieniu życiorysu tego bohaterskiego kapłana, wróćmy do książki. Zawiera ona artykuły Władysława Bukowińskiego, które ukazały się w ówczesnych wołyńskich periodykach katolickich, m.in. w tygodniku «Życie Katolickie», którego redaktorem naczelnym był sam autor oraz w miesięczniku «Spójnia». Zostały one napisane w latach 1936–1939, czyli w początkowym okresie posługi kapłańskiej ks. Władysława Bukowińskiego na

naszych terenach. Od razu zwraca uwagę szeroki krąg zainteresowań młodego wówczas księdza. Oprócz artykułów poruszających naturalnie kwestie moralne i religijne, spora część publikacji jest poświęcona problemom społecznym, gospodarce rolnej, polityce, kulturze, edukacji oraz historii. Ze szczególną powagą Bukowiński podchodził do zagadnień społecznych, kwestii świadomości narodowej i państwowej obywateli oraz wychowania młodzieży.

Ta pozycja książkowa została trafnie zatytułowana «*Na pograniczu dwóch światów*», ponieważ ówczesna Polska była «*strefą przygraniczną*» Europy i Związku Radzieckiego – dwóch diametralnie różnych systemów światopoglądowych. Owa cywilizacyjna linia podziału przemieściła się obecnie dalej na wschód. Ziemie ukraińskie są obecnie pograniczem Europy i Azji oddzielającym świat cywilizowany od imperium zła, zniewolenia i kłamstwa.

Artykuły te niewątpliwie zainteresują miłośników historii oraz badaczy przeszłych dziejów Wołynia. Można by je nazwać tzw. dokumentami epoki. Ale czy tylko na tym polega ich wartość? Bynajmniej. Jak paradoksalnie by to nie zabrzmiało, ale przecież sporo kwestii, które w swoich artykułach poruszał ks. Bukowiński przed 80 laty, nie straciły nic na aktualności, a zwłaszcza dla Ukrainy. Podobieństwa pomiędzy Polską lat 30. XX wieku a współczesną Ukrainą są uderzające. Młoda nie-

podległa Polska stawiała czoło dokładnie tym samym problemom: niezadowoleniu części ludności z polityki nowych władz, nostalgii za przeszłością – kiedy wszystko było tańsze (o! nie tylko Ukraincom jest znana tęsknota za tanią kielbasą!), masowej emigracji, potężnym działaniom maszyny propagandowej wschodniego sąsiada, która zapowiadała koniec wyzysku i rychły raj na ziemi pod rządami sowieków. A poza tym – niedołężność władz, korupcja, patriotyzm fasadowy, brak jedności i zobojętnienie obywateli... Żadnych skojarzeń?

Na osobną uwagę zasługują rozważania Bukowińskiego dotyczące podzielonego społeczeństwa kresowego i dróg prowadzących do przywrócenia jedności Polski. Właśnie jedność autor uważał za podstawę prawidłowego rozwoju państwa oraz jego siłą napędową. Z niektórymi jego poglądami, owszem, można się nie zgadzać, można polemizować. Aczkolwiek, warto zapoznać się z jego myślą choćby dlatego, że teraz Ukraina stoi wobec wyzwania «resocjalizacji» regionów wschodnich, podobnie jak niegdyś Polska w okresie międzywojennym.

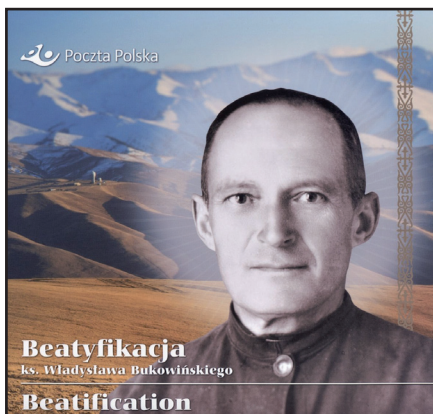
Na zakończenie pragnę skierować słowa wdzięczności Redaktorom tego wydania – p. Marii Kalas oraz ks. kan. Witoldowi-Josifowi Kowaliwowi, proboszczowi parafii w Ostrogu i Redaktorowi naczelnemu czasopisma «Wołanie z Wołynia». Pracę wykonaną przez nich można bez przesady nazwać tytaniczną, ponieważ uda-



ło im się zawrzeć w jednej pozycji książkowej ponad 80 artykułów pochodzących z różnych periodyków wydanych w latach 1936-1939. Na szczególne uznanie zasługują materiały informacyjno-pomocnicze, w tym około 200 szczegółowych i rzetelnie opracowanych przypisów.

Anatolij Olich

„Monitor Wołyński” nr 3 (179) z 9 lutego 2017 r., s. 4.



Pamięć - Пам'ятъ

OD WIELKIEJ HŁUSZY PO HLINNO



Pejzaż poleski na obrazie Iwana Szyszkina

Jesteśmy w północnej części Polesia Wołyńskiego leżącej na pograniczu Ukrainy i Białorusi, na trasie początkowo biegnącej wzdłuż środkowego biegu Prypeci, do miejsca za wsią Nobel, gdzie Prypeć przekracza granice Białorusi. Są to zielone płuca Wołynia, najbardziej niedostępne, bagniste i lesiste tereny, gdzie nadal jeszcze są miejscowości do których nie ma bitych dróg dojazdowych, tylko leśne trakty, nadrzeczne wały, albo drogi polne. W niektórych okresach roku niektóre z tych miejscowości są odcięte od świata i można do nich dotrzeć tylko drogą wodną albo powietrzną, śmigłowcem. Nadal w wielu miejscach trawę z łąk na siano kosi się tu pod wodą.

Jest tu wiele terenów uznanych z racji unikalnych walorów przyrodniczych

za obszary chronione, rezerwaty i pomniki przyrody. W wielu miejscach można odnieść wrażenie, jakby nie dotarła tu współczesna cywilizacja techniczna, jakby czas stanął kilkaset lat temu. Ludzie żyją tu nadal jakby wpleceni w odwieczny, naturalny rytm przyrody. W czasach wielkich wojen, obcy człowiek wkraczał na te tereny ze swoimi najgorszymi cechami. Niemal we wszystkich napotkanych po drodze miejscowościach naturalnym widokiem jest widok człowieka w czółnie. Łódź i wóz konny są tu, podobnie jak setki lat temu, najbardziej rozpowszechnionymi środkami lokomocji.

Marzy mi się, aby popłynąć duszohubką na przejażdżkę po licznych rozlewiskach i połowić ryby w Prypeci. Duszohubka, jest to bardzo chybota i wy-

wrotna łódź, wydłubana z jednego pnia drzewa, używana na Polesiu. Inna nazwa poleskiej łodzi, to bajdara. Do dziś jestem pod urokiem książki Feliksa Trusiewicza „Duszohubka”, opisującej tragiczne losy polskiej i ukraińskiej rodziny z okolic miasta Kołki nad Styrem w latach II wojny światowej. Najbardziej utkwił mi w pamięci wstrząsający moment, gdy Ukraiński szowinista zabija swoją siostrę, zakochaną w Polaku ukrywającym się przed śmiercią z rąk swoich sąsiadów.

Gdy mowa o łodziach, nazywa się je na Ukrainie ‘czowen’, co budzi skojarzenie z polskim słowem czółno. Inna nazwa, którą usłyszałem od poety i pisarza, Sergija Syniuka z Szumska, to ‘deszczanyk’. Jak nam powiedział spotkany następnego dnia miejscowy historyk ze Starego Czartoryska, Iwan Grigorewicz Czop, łodzie pływające po malowniczych rozlewiskach Styru w okolicach Czartoryska nazywane są także czajkami.

Wielka Hłusza, to jedna z największych miejscowości nad Prypecią, licząca około 3 tysięcy mieszkańców. Maria Rodziewiczówna książkę „Florian z Wielkiej Hłuszy” zaczyna od wspomnienia przynajmniej, jaka spotkała tu królową Bonę. W czasie jednej z podróży po tych stronach pod karocą królowej zawalił się most i pojazd wpadł do rzeki Hłuszec. Na szczęście wieśniacy i słudzy uratowali królową z tej niebezpiecznej opresji, ale kilku z nich utonęło.

Rzeka przestała istnieć w XX wieku, wskutek przeprowadzonych zbyt skutecznie, modnych swego czasu prac melioracyjnych. Od nazwy rzeki miejscowość nazywała się wtedy Hłuszki. Królowa, nie planując tego, po uratowaniu z opresji, spędziła tutaj trzy dni pod opieką franciszkanów. Posiadłość w XVI wieku należała do Sanguszków z Kamienia Koszyrskiego, w XVIII wieku do Krasickich. Od II połowy

XIX wieku do II wojny światowej była we władaniu hr. Wincentego Łubieńskiego. Spalony podczas wojny pałac został rozebrany na cegłę. Na dziedzińcu drewnianej cerkwi p.w. Zaśnięcia NMP stoi krzyż, poświęcony Polakom pomordowanym w roku 1943 przez bojówki UPA. Po osadnikach niemieckich pozostał cmentarz na wzgórzu.

W niedalekiej wsi Horki rozegrała się jedna ze znanych bitew Powstania Styczniowego. Romuald Traugutt, wbrew pogłoskom o jego śmierci rozgłaszanym przez Rosjan, ukrywał się wtedy po przegranej bitwie w leżącym na Białorusi Ludwinowie, pod opieką Elizy Orzeszkowej.

Łubieszów położony malowniczo na wysokim brzegu Stochodu, słynął z wysokiego poziomu nauczania w kolegium pijarów, powołanym w roku 1693. Uczelnia ta, zlikwidowana przez rosyjskich zaborców w roku 1834, wydała takich wybitnych absolwentów, jak Tadeusz Kościuszko i jego starszy brat Józef, słynny historyk Kazimierz Narbutt, botanik Stanisław Bonifacy Jundziłł. Jest tu kilka zabytków zasługujących na uwagę. Należy do nich budynek klasztoru pijarów z XVII wieku i zespół pokapucyński z kościołem p.w. śś. Cyryla i Metodego z roku 1768. Po rezydencji Wiśniowieckich i Czarnieckich została jedynie brama wjazdowa i park. Należący do klasztoru pijarów kościół został zburzony w roku 1971. Na miejscowym cmentarzu jest metalowy krzyż poświęcony pamięci Polaków pomordowanych przez UPA w listopadzie 1943 roku. Mieści się tu siedziba parku krajobrazowego „Prypeć i Stochod”.

Najbardziej na północ wysuniętą miejscowością jest dawne miasteczko, liczące kiedyś pięć cerkwi. Dziś jest to zanikająca wieś Nobel, położona na cyplu jeziora o tej samej nazwie. Tutejsi mieszkańcy mówią o sobie, że mieszkają na końcu świata.

Są tu ślady średniowiecznego grodu, który zasłynął z walk pomiędzy Litwinami i książętami ruskimi.

Kolejna miejscowość w drodze na wschód, to liczący 7 tysięcy mieszkańców Pohost Zarzeczny nad Styrem, stolica regionu, dawna własność Zbaraskich, w której nie ma ciekawych zabytków.

Dąbrowica leżąca 25 kilometrów na północ od Sarn, to miejscowość, gdzie było kolejne, także jedno z najświetniejszych kolegium pijarów. Jego absolwentami byli tacy wybitni ludzie, jak poeta i żołnierz legionów Henryka Dąbrowskiego, Cyprian Godebski, poeta i dramaturg Alojzy Feliński, historyk Łukasz Gołębiowski. Urodził się tu zdobywca nagrody Nobla z fizyki, przyznanej w roku 1992, Georges Charpak, który w wieku kilku lat wyjechał stąd z rodzicami do Francji. Piękny barokowy kościół katolicki p.w. św. Jana Chrzciciela z roku 1740 został po II wojnie zamknięty, a budynek przeznaczono na magazyn. Na cmentarzu zachowała się kaplica katolicka z 1767 roku.

Na północ od Dąbrowicy leżą Perebrody, jeszcze jedna miejscowość peryferyjna, od której pochodzi nazwa leżącego pomiędzy rzekami Lwą i Stwigą, Rezerwatu Perebrodzkiego.

Warto zwiedzić leżące pomiędzy Klesowem, a Perebrodami nad rzeką Lwą wśród lasów, liczące półtora tysiąca mieszkańców, Jeziory. Jest to prawdopodobnie miejsce samobójczej śmierci w dniu 18 września 1939 roku i pochówku, słynnego dramaturga i malarza, Stanisława Ignacego Witkiewicza, na wiadomość o wkroczeniu na teren Polski wojsk sowieckich. Jego wieloletnia przyjaciółka Czesława Korzeniowska-Oknińska została wtedy odratowana i zmarła w Warszawie w roku 1975. Zachował się w lesie dąb, zwany dębem Witkacego, pod którym on podobno zmarł, z odręzną in-

skrypcją z datą 18.IX. 1939 i nazwiskiem „Witkacy”. W miejscowej szkole jest niewielkie muzeum pamięci artysty, a na cmentarzu jego grób. Ten dziwak i skandalista za życia, stał się bohaterem sensacji w wiele lat po śmierci, za sprawą skandalicznej pomyłki przy ekshumacji jego zwłok, gdy władze w roku 1988 postanowiły pochować go w Zakopanem.

Pod niedalekimi wsiami Klesów i Tomaszgród są kopalnie granitów, dochodzące do stu metrów głębokości. Drewniana kaplica katolicka w Klesowie z początku XX wieku zamieniona została po wojnie w dom kultury, a w roku 1992 odzyskana przez wiernych.

Oddalone na wschód Rokitno, to 7-tysięczne osiedle miejskie będące stolicą regionu. Od wielu lat działa tu bardzo znana huta szkła. Tutejszy kościół katolicki został zamieniony po wojnie na dom kultury. Na zdewastowanym cmentarzu są groby żołnierzy polskich z lat 1919-1920.

Na północ od Rokitna leżą malownicze wsie, w których zachowało się wiele elementów dawnej kultury. Najdalej z nich położona, to Hlinno. Można na tej trasie spotkać tereny porośnięte dziką azalią pontyjską, szczególnie malownicze i aromatyczne w okresie kwitnienia. W okolicy Józefina rośnie najstarszy dąb na Polesiu, którego wiek ocenia się na około półtora tysiąca lat.

Alfons Soczyński

Tekst pochodzi ze zbioru „Kresy. Przywracanie pamięci”.



Pamięć - Пам'ятъ

BP MICHEL DUBOST GOŚCIEM SZKOŁY KATEDRALNEJ W ŁUCKU

W niedzielę 12 lutego 2017 r. Szkoła Katedralnej Uniwersytetu Otwartego UKSW gościła znanego hierarchę kościoła francuskiego **bpa Michela Dubosta**. Jak przypomniał kierownik UO UKSW **dr Kazimierz Szalata**, który współpracuje z bpem Michelem od blisko czterdziestu lat, Europa Wschodnia wiele zawdzięcza francuskiemu biskupowi. W trudnych czasach komunistycznej izolacji polskich uczelni starał się o zaproszenia i stypendia dla studentów a także pracowników między innymi Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Organizował dla nich spotkania i pielgrzymki do Rzymu, Paryża, Wersalu, Reims czy na Mont Saint Michel. Jako pierwszy zaprosił polskich a później ukraińskich żołnierzy, by mogli oficjalnie uczestniczyć w dorocznej Międzynarodowej Pielgrzymce Wojskowej w Lourdes. Przez wiele lat współpracował z Prymasem Polski ks. kard. Józefem Glempem w Papieskiej Radzie do spraw Świeckich. Jest jednym z inicjatorów projektu Świątynnych Dni Młodzieży. W latach 1989 – 2000 był biskupem Armii Francuskiej. Od siedemnastu lat jest ordynariuszem diecezji Evry Corbeil-Essones. Obecnie przewodniczy Radzie Episkopatu Francji do spraw współpracy z innymi religiami i nowymi ruchami religijnymi. W roku 2012 powołany został przez papieża Benedykta do Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego. Przez wiele lat ks. bp Dubost przewodniczył Europejskiej Federacji Mediów Katolickich UNDA Europe. Jest autorem wielu książek, w tym encyklopedii katolickiej THEO i katechizmu dla młodzieży.



Bp Michel Dubost i ks. kan. Paweł Chomiak
Fot. Michał Szalata

Ks. bp Michel Dubost rozpoczął swoją wizytę w Europie Wschodniej od spotkania w rezydencji biskupa diecezji warszawsko-Praskiej z **księdzem Arcybiskupem Henrykiem Hoserem**. Następnie w towarzystwie Kazimierza i Michała Szalaty udał się do Łucka, gdzie w ramach obchodzonego akurat Świątynnego Dnia Chorego, odwiedził kierowany przez **prof. Jerzego Waleckiego** Obwodową Klinikę dla Chorych na Gruźlicę.

W niedzielę francuski hierarcha odprawił w katedrze świętych Apostołów Piotra i Pawła uroczystą Mszę świętą o po-

Zmarł Ks. Józef Adam Kozłowski

Wieczorem 7 stycznia 2017 roku
zmarł w Otwocku
W wieku blisko 90 lat
Ksiądz Józef Adam Kozłowski
Urodzony w Ostrogu nad Horyniem
19 marca 1927 roku.

Jako ksiądz misjonarz pracował w Wielkiej Brytanii, Emiratach Arabskich, w Norwegii i w swoich rodzinnych stronach na Ukrainie. Wśród Polaków był znany jako pełen inicjatywy działacz polonijny przypominający o tradycjach i o potrzebach Ojczystego Kraju. Dzięki jego staraniom wysłano z Norwegii do Polski dziesiątki transportów z odzieżą i sprzętem w latach po wprowadzeniu stanu wojennego. W 1989 roku był inicjatorem założenia działającej sprawnie do dziś Polskiej Szkoły Śobotniej im. Jana Pawła II w Oslo. Mieszkając w miasteczku Korzec (obecnie na Ukrainie) wyremontował zdewastowany kościół i zrzurowaną plebanię. Ostatnie lata życia spędził w Domu Księża Emerytów w Otwocku pod Warszawą.

Pogrzeb odbędzie się dnia 16 stycznia 2017 roku, a rozpocznie się o godz. 12.00 Mszą św. w kościele parafialnym w Otwocku, o czym zawiadamiają
przyjaciele Księdza

kój na Ukrainie. Podczas homilii przypomniał, jak bardzo ważne są dla nas Boże Przykazania, których nie znosi Chrystus, ale wprost przeciwnie, podkreśla ich znaczenie. A najważniejszym z przykazań jest nakaz miłości bliźniego, nawet wtedy, gdy to jest trudne, nawet wtedy gdy bliźni jest naszym wrogiem, winniśmy w nim umieć dostrzec godność człowieka czynionego na „obraz i podobieństwo Boże”.

Po Mszy świętej goście lutowej Szkoły katedralnej udali się wraz z drem Sergiuszem Prokopiukiem do dawnej siedziby Radziwiłłów – Ołyki. Ksiądz biskup Michel Dubost był poruszony widokiem zdewastowanej bazyliki Trójcy Świętej

oraz warunkami pracy duszpasterskiej proboszcza **ks. Jerzego Pohnerybki**.

Po południu odbyła się specjalna uroczysta sesja poświęcona problemom dialogu międzyreligijnego we Francji, na Ukrainie i na świecie. Spotkaniu, które prowadził wraz z **ks. kan. Pawłem Chomiakiem dr Kazimierz Szalata** towarzyszył koncert przygotowany przez przewodniczącego Stowarzyszenia Szutki Polskiej „Barwy Kresowe” **Grzegorza Rolingera**. Przed słuchaczami Szkoły Katedralnej wystąpili: światowej sławy tenor **Wasył Czepeluk** oraz solistka opery Larysa Pivaczyk (mezzosopran), którym akompaniowali: **Svietlana Duda** (elektroniczne pianino), **Andrzej Podzibas** (skrzypce) i **Mykoła Wojko** (kontrabas).

Po powrocie do Polski, francuski gość zwiedził Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zapoznał się z historią rozwoju Uczelni oraz ze specyfiką pracy naukowej i formacyjnej na dziesięciu wydziałach UKSW a także z programem Uniwersytetu Otwartego, który poprzez upowszechnianie wiedzy humanistycznej i religijnej realizuje misję uczelni noszącej imię Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Przed powrotem do Francji ks. Biskup Dubost w towarzystwie dra Szalaty modlił się przy grobie bł. ks. Jerzego Popiełuszki a także przy grobie inicjatorce Miśyjnego Apostolstwa Niepełnosprawnych Dzieci Ani Szalaty oraz na cmentarzu obrońców warszawy z 1920 w Ossowie. Ostatnim punktem wizyty w Warszawie było spotkanie w Domu Geriatriczno-Rehabilitacyjnym Bonifratrów z **prof. Mieczysławem Gogaczem**, obecności którego dr Kazimierz Szalata złożył francuskiemu hierarsze podziękowania za blisko czterdzieści lat współpracy i życzliwość, jaką przez lata okazywał dla kościoła w Europie Wschodniej.

Kazimierz Szalata